



Anne Fraser



***Nigdy nie mów
nigdy***

Tytuł oryginału: Cinderella of Harley Street

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cassie z niekłamaną ulgą postawiła na ziemi ciężką walizkę, bo afrykańskie słońce prażyło niemiłosiernie, po czym zadarła głowę.

Statek był ogromny, zdecydowanie większy, niż sobie wyobrażała. To dobrze, bo na tyłu pokładach jest dużo zakamarków, gdzie da się ukryć. Nie zamierzała unikać ludzi, ale liczyła, że znajdzie miejsca, oprócz kabiny, gdzie będzie mogła być sama. Teraz najbardziej odpowiadało jej własne towarzystwo.

Zwróciła uwagę na mężczyznę, który oparty o barierkę rozmawiał przez komórkę. Gdy ich spojrzenia się spotkały, gwałtownie odwróciła głowę, czując niepokojące mrowienie. Nie był wyjątkowo przystojny, umawiała się z bardziej atrakcyjnymi, ale zaintrygowało ją, jak się porusza, jak przechyla głowę, nawet jak się uśmiecha do rozmówcy. Jednak nawet tak krótki kontakt wzrokowy sprawił, że w jej mózgu rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Błyskawicznie postanowiła, że niezależnie od tego, kim jest ten człowiek, w najbliższych tygodniach musi go unikać.

Właśnie znajdowała się w połowie trapu, kiedy jej wypchana do granic możliwości i wysłużona walizka uznała, że dłużej nie wytrzyma i z trzaskiem się otworzyła, wyrzucając z siebie T- shirty, sukienki i bieliznę. Cassie patrzyła z przerażeniem, jak jedwabne, wykwintne, i piekielnie drogie figi szybują ponad poręczą, by zawisnąć na jakimś kawałku żelaza, gdzie powiewały niczym koronkowa śnieżnobiała flaga wywieszona na znak kapitulacji.

Rzuciła się za nimi i wpadłaby do wody, gdyby nie pochwyciły ją czyjeś silne ramiona.

Przez moment trwała nieruchomo wtulona w męską pierś, napawając się chwilowym poczuciem bezpieczeństwa. Absurd. Do tego nie potrzebuje faceta ani nikogo innego.

Prawdę mówiąc, wcale jej nie zdziwiło, gdy wybawcą okazał się osobnik, który jeszcze na dole przyłapał ją na tym, że mu się przygląda. A miała go unikać...

– Wiem, że jest gorąco, ale odradzam skok do wody.

– Mówił ze szkockim akcentem, a w jego ciepłym głosie pobrzmiwała nuta rozbawienia.

Kiedy przeniosła na niego wzrok, zamurowało ją, bo w ręce trzymał jej figi.

– To chyba należy do pani – dodał, uśmiechając się beczelnie.

Czy można jeszcze gorzej zaprezentować się załodze? – pomyślała z goryczą, dostrzegając gapiów wychylających się z pokładu. Co gorsza, na dole zebrała się grupka miejscowych, którzy głośno wymieniali uwagi, wskazując na nią i chichocząc.

– Dziękuję – odparła oschłym tonem, wyrywając mu kompromitującą sztukę garderoby. Czy on musi trzymać je tak, żeby wszyscy widzieli?!

Przykucnęła, by pozbierać rozrzucony dobytek i wepchnąć go z powrotem do walizki. Zawsze miała w walizce idealny ład, wszystko starannie złożone i poukładane, dobrane kolorami. Zdawała sobie sprawę, że to zakrawa na obsesję, lubiła jednak porządek, a nawet więcej – wręcz go potrzebowała. Jednak w tych okolicznościach szło o to, by jak najszybciej zgarnąć rzeczy. Zrobi porządek, kiedy dotrze do kabiny.

Pomocnik, bo nie chciała nazywać wybawcą człowieka, który ratował jej bieliznę, przykucnął obok. Tak blisko, że czuła bijące od niego ciepło. Wstrzymała oddech. Ale gdyby się choć trochę odsunęła, niechybnie

wpadłaby do wody, z czego wcześniej pozwolił sobie żartować. W tej chwili jednak taka perspektywa wydała się dość kusząca.

– Dziękuję, poradzę sobie. Na pewno pan się spieszy.

– Owszem, ale byłoby grzechem przepuścić taką okazję.

Gdy już cała garderoba znalazła się w walizce, Cassie nagle zdała sobie sprawę, że po pierwsze, by walizkę domknąć, musiałaby na niej usiąść, i to na pochyłym trapie, a po drugie, istniało duże prawdopodobieństwo, że zamek znowu puści, zanim ona dotrze do kabiny.

Jemu chyba to samo przyszło do głowy, bo jednym ruchem zapiął walizkę, po czym wziął ją pod pachę.

– Który pokład, która kabina? – zapytał. – Domyślam się, że jest pani członkiem personelu medycznego.

Przyjrzała mu się uważniej. Wysoki, spłowiałe od słońca włosy, szerokie pełne wargi i fascynujące piwne oczy. Oraz przenikliwy wzrok, ponieważ ogarnęło ją nieprzyjemne wrażenie, że facet widzi, co dzieje się w jej duszy, zna wszystkie tajemnice, a tego sobie nie życzyła.

– Cassie Ross, lekarka – przedstawiła się, podając mu dłoń.

Szeroko się uśmiechnął.

– Leith Ballantyne, lekarz. Witam na pokładzie afrykańskiego Mercy Ship, międzynarodowego statku– szpitala.

Cholera, lekarz. Bardzo trudno będzie go unikać. Jest jednak nadzieja, że wkrótce wyjedzie. Już zawczasu poinformowano ją, że pielęgniarki zazwyczaj pracują na statku minimum trzy miesiące, ale większość lekarzy, podobnie jak ona, jest na stałe zatrudniona gdzie indziej, więc mogą poświęcić na tę działalność zaledwie kilka tygodni w roku.

Już na pokładzie wyciągnęła ręce po walizkę.

– Proszę mi ją oddać.

– Wykluczone. Jest pani zmęczona. – Uniósł pytająco brwi. – Z Londynu?

– Tak – mruknęła, ale zaraz dodała: – Mam wrażenie, że już dawno temu opuściłam Anglię. Przez ostatnie dwie doby podróżowałam chyba wszystkimi środkami transportu funkcjonującymi w Afryce. Cieszę się, że nareszcie dotarłam do celu.

– To wspaniały statek i wspaniały zespół – zapewnił ją.

– Nie mogę się doczekać, kiedy wezmę się do pracy.

– Pracuje pani dopiero od jutra. – Nie czekając na jej reakcję, ruszył wąskim przejściem. Nadal trzymał walizkę, więc Cassie posłusznie ruszyła za nim.

– Będę gotowa, jak tylko wezmę prysznic.

Spojrzał na nią przez ramię.

– Proszę mi wierzyć, będzie pani miała jej aż nadto. Jak długo zamierza pani tu działać?

– Trochę dłużej niż dwa tygodnie.

– Na razie niech pani odpoczywa. I zbiera siły, bo bardzo się przydadzą.

– Kiedy się uśmiechnął, zaparło jej dech w piersiach. Z trudem odwróciła wzrok, łudząc się, że zaczerwienione policzki Leith przypisze działaniu afrykańskiego słońca. – Czy możemy się umówić, że przy kolacji opowiem pani, jak wygląda nasza praca?

Poznał ją pięć minut temu i już podrywa! Normalnie by się tym nie przejęła, nieraz radziła sobie z takimi jak on, zazwyczaj zbywając ich celną ripostą, ale ten osobnik zaburzał jej procesy myślowe.

– Chciałabym od razu wziąć się do pracy.

Spoważniał.

– To niemożliwe. Zmęczony lekarz to niebezpieczny lekarz. Nie można

pracować, dopóki człowiek się porządnie nie wyśpi. – Znowu się uśmiechnął.
– Zatem jesteśmy umówieni na kolację? Niestety nie będzie to nic wytwornego, ale spełnia swoje zadanie.

Kim on jest, że decyduje, co jej wolno, a co nie?! Już miała otworzyć usta, ale wszedł do kabiny, by postawić walizkę na wąziutkiej ławie. Było tam tak mało miejsca, że znowu poczuła jego fizyczną bliskość.

– Jeśli nie wolno mi dzisiaj pracować, to chyba zrezygnuję z kolacji i wcześniej pójdę spać – odparła. – Gdzie jest łazienka?

– Na końcu korytarza.

Żeby go wypuścić, odsunęła się, czując jak w skroniach pulsuje jej krew. Chyba przez ten piekielny upał. Uśmiechnął się znowu, jakby zauważył jej reakcję i nie był nią zaskoczony.

– Gdyby zmieniła pani zdanie, o siódmej zastanie mnie pani w kantynie.

Kiedy wyszedł, zamknęła drzwi, po czym opadła na łóżko. Za wszelką cenę musi unikać doktora Ballantyne'a.

Pogwizdując, ruszył do swojej kabiny. Gdy tylko zobaczył tę kobietę, poczuł, że jego życie nabierze nowych kolorów. Zazwyczaj podobały mu się dziewczyny z długimi włosami, ale jej krótka fryzurka podkreślała subtelne rysy twarzy, uwydatniając duże oczy.

Zanim zawartość jej walizki wysypała się na trap, ta kobieta w białej bluzce i obcisłych dżinsach sprawiała wrażenie bardzo atrakcyjnej i pewnej siebie. Do tego te oczy! Kiedy przyłapał ją na tym, że mu się przygląda, spiorunowała go wzrokiem, więc rumieniec na policzkach, gdy podawał jej majtki, był sporym zaskoczeniem.

Zaintrygowała go. Szkoda, że będzie na statku tylko przez dwa tygodnie, bo przydałoby się więcej czasu, by mógł lepiej poznać doktor Ross.

Otarłszy pot z czoła, spojrzała na kolejkę pacjentów ciągnącą się niemal

po horyzont. Na Mercy Ship brakowało dla nich miejsca, bo wszystkie pomieszczenia zajmowały sale operacyjne oraz oddziały szpitalne.

Przyjęła już mnóstwo dzieci, ale końca nie było widać. Jedne cierpliwie stały u boku opiekunek, inne bawiły się na drodze, jeszcze inne czekały w chustach na plecach matek. Najpierw należało zająć się tymi, które ani nie płakały, ani się nie bawiły, tylko leżały bezwładnie.

Jako jedynemu pediatrze powierzono jej dzieci skierowane przez pielęgniarki oraz niewielki, ale dobrze wyposażony oddział dziecięcy. Ponadto do jej obowiązków należało asystowanie na bloku operacyjnym przy przypadkach pediatrycznych.

Gdy zrobiła sobie chwilę przerwy, by się napić, bo w takim upale należy się nawadniać, dotarły do niej odgłosy zamieszania dobiegające z innej kolejki. Chociaż pacjenci musieli godzinami czekać w pełnym słońcu, rzadko się buntowali, więc każde takie poruszenie oznaczało, że dzieje się coś niedobrego.

Kiedy dotarła na miejsce, czekający się rozstąpili. Na ziemi leżała może siedemnastoletnia dziewczyna. Jęczała, trzymając się za brzuch. Cassie od razu się zorientowała, że kobieta jest w zaawansowanej ciąży, na krótko przed rozwiązaniem. Ale zobaczyła też coś, co ją zaniepokoiło: plamę krwi na ubraniu.

Poinstruowała stojące obok kobiety, by dziewczynę zasłoniły, po czym zajrzała pod jej szaty. Całe uda we krwi. Zapewne przedwczesne odklejenie łożyska.

Albo natychmiastowe cesarskie cięcie i transfuzja, albo dziewczyna umrze.

Już miała zawołać wolontariuszy z noszami, gdy ktoś przykląkł obok niej. Facet z trapu, doktor Ballantyne. Przez cztery dni nie mieli okazji

rozmawiać, widywała go, to jasne, ale starała się unikać. Nie bardzo wiedziała dlaczego, ale na pewno budził w niej niepokój.

– Cześć. – Nie musiała mu nic wyjaśniać, bo od razu się zorientował, co się dzieje. – Wygląda na odklejenie łożyska. Nie ma czasu, żeby zabrać ją na blok na statku. Trzeba ją przenieść do chaty i operować tutaj. Nosze! – zawołał. Jak spod ziemi błyskawicznie wyrósł przed nimi wolontariusz z noszami. – Anestezjolog! Natychmiast!

– Wszyscy są na statku – powiedziała jedna z pielęgniarek. – Mam po niego kogoś posłać?

– Tak, i to szybko! – Leith spojrzał na Cassie. – Nawet jeśli ktoś się znajdzie, to zanim tu się stawi, będzie za późno. Robiłaś kiedyś nakłucie lędźwiowe?

Przytaknęła.

Gdy czekali, aż środek znieczulający zacznie działać, Leith pobrał krew w celu określenia grupy, a pielęgniarka zabrała ją do laboratorium na statku.

Tymczasem wróciła położna z pojemnikami z płynami, więc od razu podłączył dziewczynę do kroplówki.

– Już szykują dla pana salę operacyjną – oznajmiła położna.

– Za późno – odparł.

Cassie zapanowała nad złowieszczym dreszczykiem, zachowując kamienną twarz. To jeszcze jedna umiejętność, którą posiadała już w dzieciństwie.

Kilka minut później Leith wyjął z brzucha dziewczyny idealnie ukształtowanego noworodka, ale, niestety, niepokojąco bezwładnego i cichego. W tej sytuacji Cassie od razu przystąpiła do sztucznego oddychania. No, mały, oddychaj. Zrób to nie dla mnie. I dla mamy. No, potrafisz.

Na szczęście po chwili noworodek zakwilił. Gdy przeniosła wzrok na

Leitha, uśmiechnął się, a ona odwzajemniła uśmiech. Uratowali dziecko.

Wtedy właśnie zjawily się dwie pielęgniarki z przenośnym inkubatorem. Gdy układały w nim noworodka, spojrzała na matkę dziecka. Tyle krwi...

– Cholera, trzeba usunąć macicę – mruknął Leith.

– Ale ta operacja nie obejdzie się bez znieczulenia ogólnego, a tutaj to niemożliwe. Trzeba przenieść ją na blok.

Tymczasem dołączył do nich drugi lekarz. Cassie, nie chcąc im przeszkadzać, podążyła za inkubatorem, żeby na statku podłączyć dziecko do specjalistycznej aparatury. Dziewczynka była maleńka, ale oddychała samodzielnie. Gdy tylko matka wybudzi się z narkozy, pielęgniarka przyniesie jej córeczkę do nakarmienia.

Było już po pierwszej, więc należało wrócić do czekających na nią pacjentów, zwłaszcza że później miała asystować przy operacji. Przeczując, że zabraknie czasu na porządny lunch, z kanapką z kantyny poszła na pokład, by odpocząć choćby przez pięć minut.

Gdy przymknęła na chwilę powieki, przed oczami stanął jej obraz Leitha. Ilekroć go widziała, grał w karty albo żartował z pielęgniarkami, jakby medycyna w ogóle go nie dotyczyła. Czasami spoglądał w jej stronę, ale unikała jego wzroku i zawsze starała się siadać jak najdalej od niego.

Jaki jest ten prawdziwy Leith Ballantyne? Podrywacz, którego spotkała pierwszego dnia, czy lekarz do tego stopnia oddany pacjentom, że ledwie ją dostrzega? Otrząsnęła się. Po co zawracać sobie tym głowę? Nie miałyby nic przeciwko przelotnemu romansowi, ale nie z kimś z pracy.

Dokończyła kanapkę.

Nie, lepiej posłuchać intuicji i trzymać się z daleka od doktora Ballantyne'a.

Pięć godzin później w dalszym ciągu była na bloku operacyjnym, gdzie trwał, zabieg usuwania guza z twarzy nastoletniego chłopca. Guza tak dużego, że zniekształcał całą twarz. Łagodny nowotwór nie stanowił zagrożenia życia, ale z powodu rozległej deformacji dzieciak znalazł się na marginesie lokalnej społeczności. Cassie współczuła mu z całego serca, bo dobrze wiedziała, jak czuje się ktoś, kto trafia na mur głębokiej niechęci.

Operację przeprowadzała doktor Blunt, doświadczony emerytowany chirurg, więc jak można było się spodziewać, zabieg przeszedł bez większych komplikacji. Gdy w pewnej chwili jedno z naczyń krwionośnych zaczęło obficie krwawić, Cassie miała okazję popisać się błyskawicznym refleksem, bez większego trudu zatrzymując krwawienie.

Obie wyprostowały się na moment, by przyjrzeć się efektom swojej pracy. Mimo opuchlizny twarz pacjenta wyglądała prawie normalnie. Jego zdjęcie nie miało szansy trafić do kolorowych kalendarzy, ale chłopak przestanie odstawać od innych..

Doktor Blunt ją pochwaliła, a mimo to Cassie zastanawiała się, czy nie można było zrobić tego lepiej. Tak, na tym polega jej problem. Nigdy nie jest zadowolona, zawsze dąży do perfekcji.

Umordowana z niechęcią pomyślała, że jak co wieczór powinna pobiegać, ale nawyki rządzą się swoimi prawami. Potem będzie się jej lepiej spało, na razie jednak musi chwilę odsapnąć.

Wyszła na pokład, by zaczerpnąć świeżego powietrza, ale chociaż słońce już zaszło, powietrze było wilgotne i lepkie. Czuła, jak pot strugami spływa jej po plecach. Pobiega, kiedy skwar nieco zelżeje, a poza tym musi zajrzeć do pacjenta, gdy ten wybudzi się z narkozy.

Z dołu dobiegł ją gwar i głośny śmiech. To personel aktualnie niepracujący w salach operacyjnych albo na oddziałach zebrał się w kantine

na wieczorne pogawranki. Przeszła więc na cichszą prawą burzę, tę zwróconą ku morzu. Gdy chciała być sama, o co niełatwo na statku, na którym przebywa czterysta osób, często zaszywała się w kącie za łodziami ratunkowymi.

Niestety, tym razem ktoś ją ubiegł. Oparty o reling wpatrywał się w morze. Już miała się po cichu wycofać, gdy ją zauważył. Natychmiast go rozpoznała.

– Doktor Ross, witam – powiedział z szerokim uśmiechem. – Nie miałem jeszcze sposobności pani podziękować za pomoc.

Wzruszyła ramionami.

– Niewiele zrobiłam. Jak się ma ta pacjentka?

– Trzeba było usunąć całą macicę, więc nie już urodzi więcej dzieci.

– Może to i lepiej. – W tym regionie od lat panowała bezlitosna susza i mimo wysiłków lekarzy z Mercy Ship oraz organizacji pomocowych głód i choroby stanowiły główną przyczynę śmierci wśród najmłodszych.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Wątpię, czy ona będzie myślała podobnie.

– Ma przynajmniej jedno żyjące dziecko. Z punktu widzenia matki chyba lepiej mieć jedno zdrowe dziecko niż dużo chorych.

– Uważam, że nie powinniśmy oceniać tutejszych zwyczajów, dla nas często niezrozumiałych, według naszych zachodnich standardów. – Czując się skarcona, Cassie się nastroszyła, ale on mówił dalej. – Wczoraj obserwowałem panią przy stole operacyjnym. Ma pani zwinne palce.

– Dziękuję... hm, doktorze.

W jego oczach zamigotały wesołe iskierki.

– Jak sztywno... Mów do mnie po imieniu.

Przytaknęła.

– Dziękuję, Leith. – Nie potrafiła ukryć zmieszania.

– Przepraszam, ale muszę iść do pacjenta. – Nie miała ochoty z nim rozmawiać. Wręcz przeciwnie. Z jakiegoś powodu chciała jak najszybciej od niego uciec.

Po porannym obchodzie najczęściej szła do pacjentów czekających przed szkołą. Przyłapała się też na tym, że coraz bardziej zależy jej na zobaczeniu Leitha, ale mimo że mijając się, wymieniali uśmiechy, nie nawiązywał kontaktu.

Zazwyczaj kończyła pracę tuż przed zachodem słońca. Tym razem przystanąła, by napawać się malowniczym widokiem. W pewnej chwili instynktownie poczuła, że Leith stoi obok. Z niezadowoleniem stwierdziła, że tętno jej przyspiesza.

– Na dzisiaj koniec? – zagadnął. Biała koszula z krótkimi rękawami wyraźnie odcinała się od ciemnego zarostu na jego torsie i ramionach. Dlaczego ona zwraca na to uwagę?!

– Tak. Jeszcze tylko wieczorny obchód. – Wystawiła twarz na chłodny powiew wieczornej bryzy. – A ty?

– Też już skończyłem. – Patrzyli, jak czerwona luna barwi spaloną żarem ziemię na różowo.

– Piękny kraj – szepnęła Cassie – pomimo tych wszystkich problemów.

Gdy przeniósł na nią spojrzenie, pomyślała, że ma oczy koloru wiosennej trawy. Otrząsnęła się. Co się z nią dzieje?! Pierwszy raz doświadczała takiej fascynacji, a to napawało ją strachem.

Nagle dostrzegła kobietę stojącą kilka kroków dalej.

– Pani doktor... proszę iść ze mną.

– O co chodzi? – zapytała Cassie. – Coś się komuś stało?

Kobieta nerwowo się rozejrzała.

– Proszę, chodźcie ze mną... Oboje. Proszę...

Leith rzucił Cassie pytające spojrzenie.

– Masz jeszcze siłę?

Miała trzymać się od niego z daleka, ale przecież nie odmówi komuś, kto potrzebuje pomocy.

Gdy kiwnęła głową, kobieta odetchnęła.

– Na imię mi Precious – powiedziała. – Chodzi o Marię, moją siostrę.

Zapadał zmrok. Gdy przechodzili przez kępę drzew, Cassie potknęła się o korzeń, ale Leith w ostatniej chwycił ją za rękę. Poczula, jak prąd przeszywa jej ramię, mimo to nie cofnęła ręki.

Prowadził ją, ostrzegając przed kolczastymi gałęziami akacji i innymi przeszkodami.

Wkrótce dotarli do niewielkiego skupiska chat słabo oświetlonego płomykami palenisk, na których kobiety szykowały wieczorny posiłek. Gdy Precious się nie zatrzymała, Cassie naszyły wątpliwości. Kraj był biedny i nie mogli wykluczyć, że kobieta prowadzi ich prosto do jakiejś pułapki, ale nie mieli już odwrotu.

Leith najwyraźniej nie miał żadnych wątpliwości, bo nawet nie zwolnił kroku. Jakieś dwa kilometry za wioską kobieta przystanęła. W pierwszej chwili Cassie nic nie zauważyła, dopiero potem dostrzegła w ciemnościach zarys chatki. Dziwne. Ludzie żyli tutaj blisko siebie. Kto mieszka tak daleko od swoich pobratymców, bez możliwości skorzystania z ich pomocy?

Precious wprowadziła ich do środka, gdzie młoda kobieta pochylała się nad paleniskiem, mieszając coś w kociołku, a na posłaniu siedziało mniej więcej dwuletnie dziecko.

– To jest Maria, moja siostra – odezwała się Precious, po czym zwróciła się do siostry w ich narzeczu.

Maria podniosła na nich spojrzenie pełne nadziei, a zarazem rozpacz.

– Została wygnana z wioski – wyjaśniła Precious.

– Dlaczego?

Gdy kobieta się wahała, odezwał się Leith.

– Chyba się domyślam. Maria nie trzyma stolca? Pozwoli mi się zbadać?

Gdy Precious przetłumaczyła jego pytanie, Maria, wyraźnie zawstydzona, położyła się na posłaniu, sadzając chłopczyka na rozpostartej na ziemi macie. Spoglądał na nich wielkimi ciemnymi oczami.

– Przyniosę wodę – powiedziała Precious, wychodząc z chaty.

Chłopczyk bacznie się im przyglądał, po czym podszedł do Cassie i wysoko uniósł rączki. Odruchowo wzięła go na ręce, a on się do niej przytulił, nie odrywając wzroku od matki.

– Chyba cię lubi – zauważył Leith.

– Dzieci mnie lubią... Bardzo mi to pomaga w pracy – przyznała. Nagle wrócił do niej obraz z przeszłości. Miała może trzy lub cztery lata. Przewróciła się i zdarła skórę na kolanie. Zapłakana, z wyciągniętymi ramionami pobiegła do matki, żeby wzięła ją na ręce, ukoła ból.

Ku jej zaskoczeniu matka się odwróciła, mówiąc, że to tylko zadrapanie i żeby przestała się mazać. Ale zanim się odwróciła, Cassie dostrzegła w oczach matki coś, co kazało zapomnieć o bolącym kolanie. Poczula, że serce się jej ściska. Lata później zrozumiała, że w spojrzeniu matki zobaczyła nieskrywaną niechęć.

Gdy po studiach nadszedł czas wyboru specjalizacji, wybrała pediatrię. Być może z chęci ratowania wszystkich małych Cassie. Ale sama nie zostanie matką, nie zaryzykuje, bo wie z doświadczenia, że źli rodzice to często ci, którzy w dzieciństwie też byli źle traktowani.

– Cassie, wszystko w porządku? – Pytanie Leitha wyrwało ją z zadumy.

Mocniej przytuliła chłopczyka.

– Oczywiście. Trochę mi gorąco... nic więcej.

Przez dłuższą chwilę nie spuszczał z niej wzroku, by w końcu pokiwać głową i skupić się na Marii.

– Tak myślałem... – powiedział, zbadawszy kobietę.

– Przetoka odbytniczo– pochwowa i stąd nietrzymanie stolca. Przeprowadziłem już kilka takich zabiegów. Musisz wiedzieć, że kobiety z tą przypadłością są tu szykanowane przez współplemieńców i rzadko zgłaszają się do lekarza. Mam jednak nadzieję, że się rozeszło, że potrafimy im pomóc.

Cassie westchnęła.

– Możesz to zrobić?

Uśmiechnął się.

– Tak, jestem pewien. – Zwrócił się do Precious. – Powiedz siostrze, że musi się zgłosić do szpitala na statku. Jutro. Powiedz jej też, że będę ją operował, ale że jest to prosty zabieg, po którym będzie czuła się zdecydowanie lepiej.

Precious się rozpromieniła.

– Siostra będzie szczęśliwa. Jest jej bardzo trudno, bo żyje tu sama z dzieckiem. Trochę jej pomagam, ale muszę też zadbać o swoją rodzinę. – Zwróciła się do Marii, która po chwili ze łzami w oczach chwyciła Cassie za rękę i coś powiedziała.

– Ona pyta, czy pani też tam będzie. Że dobrze pani patrzy z oczu. Tak samo jak doktorowi. – Precious zerknęła na Leitha. – Ale czułaby się lepiej, gdyby pani przy tym była.

Cassie się zastanawiała. Rano ma pacjentów oraz dwie operacje, ale gdy popatrzyła na chłopczyka i jego matkę, poczuła, że zrobi wszystko, by Marii nie sprawić zawodu.

Precious odprowadziła ich do wioski, gdzie Leith oświadczył, że stamtąd już sami trafią na statek. Cassie ponownie ogarnęły wątpliwości, tym bardziej że za wioską zrobiło się ciemno choć oko wykol, ale Leith ruszył w busz, jakby nie miał problemu z widzeniem w ciemnościach, więc posłusznie podążała za nim.

Pokonali mniej więcej połowę drogi, gdy przystanął, jakby czegoś nasłuchiwał. Nagle wrzasnął, strącając coś z karku. Cassie usłyszała szelest listowia, kiedy to coś umykało.

– Ojej! Co to było?! – mruknął Leith. W świetle księżycy zauważyła, że zbladł.

– Pewnie jakiś pajak albo ptak – odpowiedziała, starając się nie roześmiać.

– Jeśli to pajak, to chyba jakiś gigant.

– Cokolwiek to było, już sobie poszło. Teraz nic ci nie zagraża. Obiecuję, że cię obronię przed tym potworem.

– Chyba nie sprawdziłem się jako macho. – Wyczuł jej rozbawienie. – Ze strachu aż podskoczyłem. – Uśmiechnął się. – Nie lubię pajaków.

– Nie martw się, twoja tajemnica nie wyjdzie na światło dzienne. – Ledwie to powiedziała, zrozumiała, że nie zdoła się trzymać od tego faceta z daleka.

ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego dnia dołączyła w sali operacyjnej do Leitha, żeby dodawać otuchy Marii.

– Będzie dobrze – szepnęła, trzymając ją za rękę, zanim podano jej środek usmierzający. Miała nadzieję, że kobieta zrozumie jej intencje.

– Do rozdarcia musiało dojść podczas porodu. I to pośladkowego – orzekł jakiś czas później Leith. – Miała szczęście, że przeżyła. Mogła wykrwawić się na śmierć.

Cassie z podziwem obserwowała jego technikę, uważnie słuchając, gdy w trakcie operacji wyjaśniał każde swoje posunięcie. Skończywszy, wyprostował się i uśmiechnął z zadowoleniem.

– Nie powinna mieć już żadnych problemów – oznajmił, ściągając rękawiczki. – Musi u nas poleżeć kilka dni.

Cassie ruszyła z nim do wyjścia. Miała jeszcze pół godziny przed dyżurem, akurat tyle, by wziąć prysznic i się odświeżyć.

– Spotkamy się później? – zapytał półgłosem.

Serce zabiło jej mocniej. Wiedziała już, że nie odmówi. Podczas bezsennej nocy utwierdzała się w przekonaniu, że nic się nie stanie, jeśli spędzi z nim trochę czasu. Znudzona własnym towarzystwem uznała, że Leith jest, hm... interesujący. Przecież niedługo ich drogi się rozejdą.

– Czemu nie? Spotkajmy się przy falochronie, powiedzmy wpół do ósmej.

W odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

Boże, jak naiwna małolata reaguje trzepotaniem serca. Owszem, ale do tej pory nikt nie wywarł na niej tak wielkiego wrażenia. Ani kiedy była

nastolatką, ani gdy osiągnęła wiek dojrzały. Wyciszyła podszepty intuicji, pożegnała Leitha uśmiechem, po czym ruszyła do przebieralni.

W następnym tygodniu cały wolny czas praktycznie spędzali razem. W trakcie pracy Cassie nieustannie się rozglądała w nadziei, że zobaczy Leitha. Była szczęśliwa, ale i przestraszona. Dawniej, gdy tylko się zorientowała, że za bardzo zbliża się do mężczyzny, wycofywała się, zanim sytuacja stała się zbyt poważna. Teraz codziennie sobie powtarzała, że musi odejść, dopóki jest to możliwe.

Ale na jego widok natychmiast zapomniała o tym postanowieniu. Dlaczego by nie skorzystać z okazji? Leith niczego od niej nie żąda, po prostu lubi jej towarzystwo, a sądząc po jego spojrzeniach, też nie jest mu obojętna.

Czyżby w końcu poznała kogoś, kogo mogłaby pokochać? I co ważniejsze, kogoś, kto odwzajemni to uczucie? Jęknęła. Po co o tym myśleć? Zaplanowała już sobie całą przyszłość, a w tych planach nie ma, bo nie może być, miejsca dla trwałego związku.

– Dokąd pojedziesz, jak tu skończysz? – zapytał, gdy szli plażą.

– Mam umowę z oenzetowskim Międzynarodowym Korpusem Medycznym.

Leith aż zagwizdał.

– ONZ! Ambitna sztuka!

– Można tak to ująć – odrzekła z uśmiechem. Wolała jednak nie wspominać, ile wysiłku ją to kosztowało. – Stąd od razu polecę do Sudanu.

Ściągnął brwi.

– Dlaczego akurat do Sudanu?

– Bo tam mogę być przydatna. Lubię pomagać potrzebującym dzieciom. – Napawała się powietrzem przesyconym zapachem oceanu i egzotycznej roślinności, co nieodmiennie kojarzyło się jej z Afryką. – Poza

tym od dziecka chciałam podróżować – dodała – bo nigdzie nie czuję się u siebie. Myślę, że to idealne miejsce, żeby sprawdzić swoje umiejętności. A ty dokąd się wybierzesz?

– Przez kilka lat pracowałem jako specjalista w Glasgow i dużo czasu spędzałem za granicą, głównie w Afryce, ale też na innych kontynentach. Dwa lata temu przeprowadziłem się do Londynu. Pracuję na Harley Street.

– Harley Street? – zdumiała się. – Niezły skok z Afryki na Harley Street...

– Wolne żarty. To klinika dla wybranych. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Jeżeli szukasz roboty, to wiem, że jej kierownictwo chętnie przyjmie do zespołu wysokiej klasy specjalistę.

Ten komplement mile ją połaskotał. Ale to niemożliwe.

– Dzięki, ale nie skorzystam. Londyn w deszczu? Wszędzie tłok? Metro? Wolę błękitne niebo i słońce. Drogę zawodową zaplanowałam sobie jeszcze na studiach. Odpowiada mi taka egzystencja..

– A życie prywatne?

Wpatrywał się w nią tak, że po raz kolejny musiała się zastanowić, czy w jej życiu jest miejsce na spontaniczność. Czy każda rzecz musi być zaplanowana co do godziny? Hm, ale to jej odpowiada. Bo tak jest bezpieczniej.

– Praca zaspokaja wszystkie moje potrzeby... i pragnienia.

Uniósł brwi.

– Wszystkie? Nie zamierzasz wyjść za mąż? Mieć dzieci?

Zesztywniała.

– Nie każda kobieta musi zostać matką.

– To prawda – przyznał, nie kryjąc zdziwienia. – Ale widziałem twoje podejście do dzieci. Jesteś idealnym materiałem na mamę.

– Dlaczego wszyscy uważają, że każda kobieta marzy o dzieciach? Wiem, że są kobiety, którym należałoby tego zabronić. Nikt się nie dziwi, jak mężczyzna nie chce mieć dzieci. A ty zamierzasz założyć rodzinę?

– Być może kiedyś. Za kilka lat. – Zmrużył oczy. – Na razie chcę się cieszyć życiem.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała.

– A twoi rodzice? – zapytał. – Mieszkają w Londynie?

Mimo tropikalnego upału nagle zrobiło się jej zimno.

– Od czasu do czasu. Często wyjeżdżają za granicę. Prawdę mówiąc, rzadko ich widuję. Co robią twoi?

– Nie powie mu, że jedną z zalet pracy w Sudanie jest to, że będzie daleko od swoich przybranych rodziców.

Przez chwilę przyglądał się jej badawczo, jakby chciał zadać nowe pytanie, ale się rozmyślił.

– Moi rodzice mieszkają na wyspie Skye. Pobrali się czterdzieści lat temu i w dalszym ciągu świata za sobą nie widzą. Chciałbym, żeby i mnie to się udało, jak już się ożenię.

Cudownie byłoby wierzyć, że miłość może trwać wiecznie, pomyślała ze smutkiem. Przystanęli pod akacją. W oddali majaczyły światełka na łodziach rybackich na Atlantyku, a w ciężkim tropikalnym powietrzu unosił się zapach jaśminu.

Leith ujął ją pod brodę.

– Cassie, jesteś piękna. – Gdy zaczął ją całować, świat stanął w miejscu. Całował ją najpierw delikatnie, a potem coraz żarliwiej, aż splotła mu ręce na karku, domagając się jeszcze więcej.

Zapłonęła pożądaniem, zapragnęła poczuć na sobie jego dłonie, dotykać go bez końca. Zapomniała nawet o tym, że kiedy wyjedzie, już go nie

zobaczy.

– Chodź do mnie, jak dotrzemy do statku – powiedział, gdy ich wargi się rozłączyły.

Przytaknęła milcząco, a on wziął ją za rękę.

Obudziła się, gdy promienie słońca rozświetliły kabinę. Początkowo nie wiedziała, gdzie jest, ale sobie przypomniała. Uśmiechnęła się i leniwie przeciągnęła. Dawno nie czuła się tak dobrze.

Oparłszy się na łokciu, spoglądała na Leitha. Nawet przez sen się uśmiechał. Kiedy powiodła palcem po jego torsie, otworzył oczy, chwytając ją za rękę.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry – szepnęła.

Pogładził ją po ramieniu. Zadrżała. Tej nocy kochali się dwa razy, ale teraz znowu pożądała go z mocą, o jaką się nie podejrzewała.

Przygarnął ją do siebie.

– Nie mogę się tobą nasycić – zamruczał.

Ani ona nim. Wkrótce się rozstaną, więc po co myśleć o przyszłości oraz tym, co się nie stanie? Chyba nic nie stoi na przeszkodzie, by teraz zaznała szczęścia?

Była to jej ostatnia sensowna myśl.

Leith przyłapał się na tym, że stale myśli o Cassie, że stale się za nią rozgląda.

Czasami odnajdował ją w na pokładzie, zapatrzoną w morze. Wyraźnie smutną. Ale na jego widok wyraz jej twarzy się zmieniał. Uśmiechała się, a on kochał ten uśmiech, w głębi duszy żywił przekonanie, że będą razem. To dziwne, bo przecież facet taki jak on nie wierzy w przeznaczenie.

Mimo to czuł, że tak ma być.

Nadal jednak nic o niej nie wiedział. W innych okolicznościach nawet bardzo by mu to odpowiadało, ale tym razem chciał wiedzieć więcej o tej kobiecie, bo do tej pory żadna nie budziła w nim takich uczuć.

Nie warto się zastanawiać, co będzie dalej.

Z uśmiechem na ustach otworzył pocztę elektroniczną. Przeczytał wiadomość, po czym kliknął na załącznik. Jego oczom ukazało się zdjęcie chłopczyka mniej więcej czteroletniego, o zielonych oczach. Z niedowierzaniem wpatrywał się w podobiznę do złudzenia przypominającą jego własne fotografie z dzieciństwa.

Ma syna. Jest ojcem. Tak, do tej pory perspektywę ojcostwa odkładał „na potem”, w bliżej niesprecyzowanej przyszłości. Tego dnia trudno było mu to sobie wyobrazić.

Ma dziecko. Nie dojrzał do ojcostwa, jeszcze nie. Podoba mu się to, jak żyje. Żadnych więzów, żadnych zobowiązań. Robi, co chce: praca, kobiety, podróże. Dziecko położy temu kres. Zmusi do skrócenia godzin pracy, ograniczenia podróży, każe uważniej wybierać przyjaciółki.

Po raz nie wiadomo który spojrzął na zdjęcie. Bystry dzieciak, to od razu rzuca się w oczy. Przypomniały mu się jego własne fotografie: jako niemowlak na kocyku, maluch z wędką u boku ojca, dumny absolwent wydziału medycyny, i dziesiątki innych. Oczami wyobraźni ujrzał, jak zabiera syna na ryby albo na żagle, jak jego ojciec.

Jeszcze raz uważnie przyjrzał się chłopcu. On na wszystkich zdjęciach z dzieciństwa się uśmiechał, nawet z plastrami na kolanach. Zdrętwiał. Jego syn nie wyglądał na radosne dziecko. Żadne dziecko nie powinno tak ponuro spoglądać na świat.

Dawno nie była tak szczęśliwa. Po tej pierwszej nocy korzystali z każdej okazji, żeby być razem, więc z tym większym smutkiem myślała o rozstaniu.

A to nie powinno być trudne. Czy to nie dlatego obiecała sobie nigdy się nie angażować?

Tego wieczoru przytuleni siedzieli na plaży.

– Musisz wyjeżdżać do Sudanu?

Długo zwlekała z odpowiedzią.

– Dlaczego nie? Co innego miałabym robić?

– Przyjedź do Londynu. Możesz pracować w naszej klinice albo wszędzie, gdzie zechcesz.

Zwlekając z odpowiedzią, rysowała coś na piasku.

– Dlaczego miałabym to zrobić? – zapytała w końcu.

Objął ją mocniej.

– Nie mam ochoty cię puścić.

Wstrzymała oddech. Na moment urok pracowicie konstruowanego planu na przyszłość zbladł wobec tego, jak bardzo pragnęła być z Leithem. No nie! To niewykonalne. Nie może sprawić zawodu swoim pracodawcom. Na pewno nie z powodu marzenia, które nigdy się nie spełni.

– Leith, nie mogę nie jechać do Sudanu. Zobowiązałam się.

– Cholera... – Westchnął, a ona się odwróciła, by spojrzeć mu w oczy.

– Możesz lecieć ze mną. Lekarze są tam zawsze potrzebni.

– Nie mogę – odparł z nieodgadnioną miną.

Ha, on chce, by pojechała z nim, ale nie jest gotowy pojechać z nią.

– Ale jak wrócisz, będziemy znowu się spotykać, w Londynie – zauważył. – Do tej pory możemy być w kontakcie listownym, mejlowym albo nawet rozmawiać przez telefon. Jestem przekonany, że w Sudanie są jakieś telefony.

Serce biło jej jak młotem. Dlaczego nie? Może nadszedł czas oddać komuś serce, komuś zaufać? Zaryzykować. Ta myśl nie dawała jej spokoju:

zaryzykuj, ten człowiek może cię pokochać. Naprawdę.

Ale czy na zawsze? Czy miłość może być wieczna? Czy marzenia się spełniają?

Przygarnęła go do siebie.

– Koniec gadania – rzuciła swobodnym tonem. – Czy wiesz, że mija już dwadzieścia minut, od kiedy mnie ostatnio całowałeś?

Ich ostatnia wspólna noc minęła szybko. Statek płynął dalej, Cassie miała zdążyć na samolot do Sudanu, a kilka dni później Leith zamierzał wrócić do Londynu.

Przeciagnęła się leniwie. Westchnęła na wspomnienie tego, jak jeszcze przed chwilą się kochali.

– O czym myślisz? – zapytała, podejrzewając, że o pacjencie.

– Nie wiem, czy chcesz usłyszeć.

W jego głosie zabrzmiała złowieszcza nuta.

– Nie chcę usłyszeć, że jesteś żonaty. – Roześmiała się nerwowo.

– Nie, nie jestem. – Zawahał się. – Dwa dni temu dostałem mejla.

Rzuciła mu pełne niepokoju spojrzenie.

– Zła wiadomość?

– Nie. Tak. Kurczę, nie wiem. – Podniósł się z łóżka, by włożyć dzinsy.

Od tego wieczoru, kiedy zaproponował, by byli w kontakcie, nie nawiązał do tego tematu. Rozmyślił się? Źle zinterpretowała jego słowa? Mówił, że jest cudownie, ale...? Nerwowo skubała brzeg prześcieradła.

– Mów jaśniej.

Przysiadł na łóżku, objął ją, a ona przez chwilę wsłuchiwała się w bicie jego serca.

– Kilka lat temu przespałem się z pewną kobietą – wyznał w końcu. – Ta przygoda kompletnie wypadła mi z pamięci.

Zesztywniała. Nie powinna być zazdrosna o jego przeszłość.

– Miała na imię Jude. Prawdę mówiąc, nie bardzo ją pamiętam. Tak czy owak, napisała do mnie Bella, jej siostra, żeby poinformować, że Jude urodziła dziecko mniej więcej dziewięć miesięcy po tym, jak... no jak... no wiesz...

– Nie użyłeś...?

Potał twarz.

– Byłem po ciężkim dniu, a ona powiedziała, że jest na pigułce. Uwierzyłem jej.

Domyśliła się, co zaraz usłyszy.

– To twoje dziecko.

– Najwyraźniej.

– Nie poinformowała cię? Dlaczego odezwała się do ciebie jej siostra?

– Bo się o nią niepokoi. Siostra namawiała Jude, żeby mnie o tym poinformowała, kiedy stało się jasne, że jest w ciąży, ale ona odmawiała.

– Czy to coś zmienia?

– Bella uważa, że jej siostra zaniedbuje synka. Domyślam się, że Jude jest uzależniona od narkotyków. – Przegarnął włosy palcami. – Jaka z niej może być matka?!

Podciągnęła kolana pod brodę. Dobrze wiedziała, co to za kobieta. Jak jej biologiczna matka.

Źle go oceniłam? – pomyślała rozczarowana. Przedwcześnie wyniosła go na piedestał, naiwnie zakładając, że ktoś może być bez wad. Kto jak kto, ale ona powinna pamiętać, że nie ma takich ludzi.

– Jestem przekonany, że nie brała, kiedy się poznaliśmy. Rodzina uważa, że zaczęła brać dwa lata temu. Nie mam pojęcia, dlaczego nie chciała mnie poinformować, że jest w ciąży. Zdaje się, że była wtedy z kimś

zareczona, ale facet ją rzucił, jak się zorientował, że dziecko nie jest niego. To wtedy zaczęła zachowywać się nieodpowiedzialnie.

Dlaczego ludzie decydują się na dziecko, jeśli nie potrafią się nim zająć?
– pomyślała.

– Co zamierzasz zrobić?

– Nie mam najmniejszych wątpliwości, że to moje dziecko, bo Bella załączyła jego zdjęcie, więc zrobię wszystko, żeby go widywać, a jeśli będzie to konieczne, wywalczę wyłączne prawo do opieki nad nim. – Otworzył laptopa. – Bella przysłała mi jego zdjęcie.

Owinąwszy się prześcieradłem, stanęła przed komputerem. Tak, to bez wątpienia dziecko Leitha. Te same oczy... takie zielone. Ale było w nich coś jeszcze, coś tliło się w spojrzeniu małej Cassie na kilku nielicznych zdjęciach z dzieciństwa: zdumienie i smutek. Ze ściśniętym sercem przypomniła sobie przerażoną złym snem małą dziewczynkę, która siedzi na schodach w nadziei, że przyjdzie mama, zanieśie ją z powrotem do łóżka, utuli i przepędzi złe zmory. Ale nie doczekała się mamy, więc zziębnięta i zapłakana powlokła się z powrotem do swojego pokoju.

– Jak on ma na imię?

– Peter.

– Gdzie mieszka?

– W Bristolu.

– Co teraz zrobisz?

Nie odrywając wzroku od ekranu, przegarnął włosy palcami.

– Po powrocie do Londynu skontaktuję się z prawnikiem. Jeśli będzie trzeba, to odbiorę Petera matce.

– Nie sądzisz, że najpierw należałoby ich odwiedzić, porozmawiać z Jude? Może obyłoby się bez prawnika. Bo jak od razu go zaangażujesz, nie

jest wykluczone, że do czasu ostatecznego wyroku Peter wyląduje w rodzinie zastępczej. Chcesz tego? Czasami nieudolna, ale kochająca matka jest lepsza niż obca kobieta.

– Jeżeli Jude go zaniedbuje, to należy go jej odebrać.

Po raz pierwszy beztroski Leith obnażył przed nią swoją drugą stanowczą twarz. Jednak nie było jej dane dłużej tego roztrząsać, bo odezwał się jego pager.

– Wzywają mnie na blok operacyjny. Możemy o tym porozmawiać później?

– Schodzę na ląd na krótko przed tym, jak statek odbije od brzegu – przypomniała mu.

– Postaram się wrócić, gdy tylko to będzie możliwe. – Wkładał koszulę. – Cholera, że też akurat teraz musieli mnie wezwać. Nie mam nawet numeru twojego telefonu ani adresu. – Rzucił jej swoją komórkę. – Wpisz mi się. Ale jeśli długo nie będę wracał, to proszę, zajrzyj do mnie do sali operacyjnej. – Objął ją i namiętnie pocałował.

Odwzajemniła pocałunek z żarem, o jaki się nie podejrzewała. Do spotkania z Leithem.

– Cassie, oddałbym wszystko, żeby znowu być z tobą w łóżku, ale wzywają mnie obowiązki. Do zobaczenia.

Biła się z myślami.

Leith ma dziecko, a to zmienia sytuację.

Zgodziła się być z nim w kontakcie wcześniej, kiedy nie wiedziała o dziecku.

Nie może być z nim, jeśli on jest ojcem, zwłaszcza dziecka o szczególnych oczekiwaniach. Los Petera był tak podobny do jej losu, że nie zdobędzie się, nie zaryzykuje, nie wpakuje w taką huśtawkę emocjonalną.

Z drugiej strony jednak Leith nie prosi, żeby matkowała jego synkowi. Nie o to chodzi, czy prosił, lecz o to, że on dla nikogo nie poświęci swojego dziecka. Gdyby był inny, na pewno by go nie pokochała.

Bo go kocha. Całym sercem i duszą.

Ale zostać matką jego syna? Jeżeli w końcu by ją o to poprosił? Nie.

Nie ma zielonego pojęcia, na czym to polega.

Nie jest gotowa na takie wyzwanie. Zabrakłoby jej obiektywizmu i w krótkim czasie doszłoby między Leithem a nią do konfliktu w sprawach dotyczących wychowania chłopca. Nie, to niemożliwe.

Nie możemy razem być, pomyślała ze ściśniętym gardłem. Wszystkie moje marzenia o happy endzie okazały się... tylko marzeniami.

Zaczęła się ubierać. Musi się spakować i załatwić mnóstwo innych spraw. I to szybko, bo nie chciała, by ją zastał na pokładzie Mercy Ship. Trzeba to jak najszybciej przerwać, żeby jak najmniej bolało.

Leithowi i Peterowi należy się lepsze życie. Zaslужują na kogoś lepszego, a nie na kobietę ułomną, która nie chce być matką, a zwłaszcza macochą. Jeśli się obawia, że nie potrafi pokochać własnego dziecka, to czy wolno jej ryzykować, że nie pokocha małego Petera? Bo Leith będzie tego wymagał. Na jego miejscu oczekiwałaby tego samego.

A Peter? Będzie mu bardzo trudno nawet bez nowej towarzyszkii ojca, zwłaszcza takiej, która pewnego dnia może zniknąć.

Kochała Leitha za bardzo, by stanąć między nim a synkiem. Leith o niej zapomni, ale na wszelki wypadek trzeba się postarać, żeby jej nie odnalazł.

Ze ściśniętym sercem napisała kilka słów na kartce leżącej obok komputera.

ROZDZIAŁ TRZECI

Półtora roku później

Leith przeglądał życiorys kandydatki, z którą wraz z Rose miał przeprowadzić rozmowę kwalifikacyjną. Rose tak się nią zachwyciła, że sięgnął po jej podanie w ostatniej chwili. Fatalnie. Powinien był zainteresować się tym CV dużo wcześniej. Ile może być lekarek nazywających się Cassie Rose, z doświadczeniem wyniesionym z Mercy Ships?

Tylko jedna.

Mimo że miał ochotę wrzucić dokument do kosza, odłożył go na biurko.

Sam jej powiedział, że jest kierownikiem kliniki na Harley Street, z tym że przy tej ulicy mieszczą się setki takich placówek. Mogła go wytropić w internecie.

O co jej chodzi? Widział ją półtora roku temu, a ona nadal nie daje mu spokoju.

Odeszła, zostawiając mu krótką notkę. Tyle dla niej znaczyła ta znajomość.

Operacja na bloku okazała się bardzo skomplikowana i zakończyła się, gdy statek już wypłynął w morze. Zdawał sobie sprawę, że Cassie na pokładzie nie zastanie, ale osłupiał, zorientowawszy się, że nie zostawiła ani numeru telefonu, ani adresu, bo był pewien, że tak samo jak on pragnie, by byli razem.

Źle ją zrozumiałeś. Zajmij się swoim życiem. Masz wystarczająco dużo problemów z Peterem. Zapomnij o niej. Powiedz Rose, że z nią pracowałeś i twoim zdaniem nie spełnia standardów tej kliniki.

Ale nie miał siły skłamać. Jaka jest, taka jest, ale na pewno jest

świątecznym pediatrą.

I już go nie interesuje. Zdecydowanie.

Jeszcze raz zerknął na CV. Pół roku spędziła w Sudanie, skąd przeniosła się do Afganistanu. Ten kontrakt wygasł trzy miesiące temu. Co robiła przez następne trzy miesiące? Wzięła urlop? Wyszła za mąż? Urodziła dziecko?

Ale czy to ważne? Między nimi skończone.

Od trzech miesięcy nękały ją nocne koszmary. Temat był zawsze ten sam.

Zerwała się z łóżka. Musi wziąć się w garść.

W łazience długo stała przed lustrem, nakładając bardzo staranny makijaż, by zatuszować niezdrową cerę i przydać spojrzeniu choć odrobinę blasku.

Dzisiaj znowu zobaczy Leitha. Może się ożenił? Taki mężczyzna jak on na pewno nie prowadzi się jak mnich. Czy wywalczył prawo do spotkań z synkiem?

Co jej odbiło, żeby wysłać CV do jego kliniki? Ale nie miała wyboru, bo czuła, że siedząc samotnie w mieszkaniu, zwariuje. Rozejrzała się po niewielkim saloniku. Większość rzeczy należących do Marthy, jej ukochanej niani, poszła już do organizacji dobroczynnych. Zostało tylko kilka niezbędnych mebli, z którymi Cassie nie potrafiła się rozstać. Oraz naszyjnik, który niania zawsze miała na szyi. Teraz należał do niej. Gładząc perełki, poczuła, jak ogarnia ją spokój.

– Martho, życz mi szczęścia – szepnęła. – Bo bardzo będzie mi potrzebne.

Fizycznie właściwie się nie zmienił, ale w ciemnoszarym garniturze, białej koszuli i krawacie wydał się jej obcy.

Na pewno jest ciekaw, co ją skłoniło do wysłania CV. Jakiś czas się

wahała, czy to zrobić, ale zmobilizował ją kolejny dzień wypełniony pustką. To, że Leith tu pracuje, nie oznacza, że nie wolno jej odpowiedzieć na ofertę tymczasowego zatrudnienia zamieszczoną w piśmie medycznym. To, co ich łączyło, należy do historii.

Niestety, przed oczami stanęły jej wspólne spacerunki po plaży, ich splecione ciała... Mocno zacisnęła powieki, żeby pozbyć się tych obrazów.

– Dobrze się pani czuje? – zaniepokoiła się Rose. – Może wody?

Zacisnąwszy pięści, by uspokoić drżenie rąk, pokręciła głową.

– Nie, dziękuję.

– Przez krótki czas miałem sposobność pracować z doktor Ross – oznajmił Leith, zwracając się do Rose.

– Słowem mi o tym nie wspomniałeś.

– To prawda, przyznaję. Za późno przeczytałem to CV. Ale nic się nie stało, bo wszystkie opinie o jej kwalifikacjach pokrywają się z moimi. – Omiótł ją chłodnym spojrzeniem.

Ojej, nie wiedział! Czy w przeciwnym razie zaprosiliby ją na rozmowę? Chyba nie. Ogarnęło ją przerażenie. Coraz gorzej.

– O ile pamiętam, doktor Ross była zatrudniona przez Międzynarodowy Korpus Medyczny – podjął, nie odrywając od niej wzroku – ale z CV wynika, że to się skończyło trzy miesiące temu.

Bała się tego pytania.

– Musiałam na jakiś czas wrócić do Londynu, a z anonsu wynikało, że potrzebują państwo kogoś na mniej więcej dwa miesiące, co bardzo mi odpowiada.

Miała nadzieję, że taka odpowiedź ich usatysfakcjonuje, że nie będzie musiała opowiadać o pobycie w szpitalu, rekonwalescencji oraz rozterkach, co zrobić z resztą życia.

Leith nie wyglądał na przekonanego. Niech się domyśla. Znalazła inne oferty, ale gabinety te znajdowały się albo poza Londynem, albo poszukiwały lekarza na stałe, a ona, by nie postradać zmysłów chciała pracować, dopóki nie zdecyduje, czy chce wrócić na dawne stanowisko w Międzynarodowym Korpusie Medycznym.

– Jeżeli panią zatrudnimy, do pani obowiązków będzie należało leczenie dzieci w przychodni – poinformowała ją Rose. – W tej chwili przyjmuje je doktor Fabio Lineham, ale jego żona wkrótce urodzi, więc chce spędzić jakiś czas z rodziną. Może być?

– Oczywiście.

– Sprowadza się to do roli pediatry rodzinnego. Odpowiada to pani? – zapytał Leith. – Oprócz dwójki czy trójki dzieci z chronicznymi lub złożonymi schorzeniami, które w dalszym ciągu będzie prowadził doktor Lineham, będzie pani miała do czynienia głównie z przewrażliwionymi rodzicami.

Leith oczekuje pełnego wyjaśnienia, ale ona nie ma ochoty opowiadać, dlaczego tymczasowo zrezygnowała z pracy w Korpusie.

– Jak już mówiłam, muszę kilka miesięcy spędzić w Londynie, a wasza klinika cieszy się świetną opinią.

Serce waliło jej jak młotem, wytrzymała jednak jego spojrzenie. Zaraz ją zapyta o motywy, zapewne podejrzewając, że chce wykorzystać wcześniejszą zażyłość do podpisania kontraktu ze znaną kliniką albo że chce go znowu zobaczyć. Nic z tych rzeczy.

Żeby tylko tak na nią nie patrzył... Jakby chciał przejrzeć ją na wylot. Nadal czekał na wyjaśnienia. W ostatniej chwili powstrzymała się, by nie potrzebować blizny na ramieniu.

– Niedawno zmarła moja przyjaciółka, w spadku zostawiła mi

mieszkanie w Londynie. Zanim wystawię je na sprzedaż, potrzebuję trochę czasu, żeby uporządkować wszystkie sprawy.

Niania była dla niej kimś zdecydowanie więcej niż przyjaciółką. Opiekowała się nią jak matka, a w jej mieszkanku Cassie czuła się jak w domu. Po śmierci Marthy, rok wcześniej, długo nie mogła się pozbierać.

Milczenie Leitha zaczęło działać jej na nerwy. Nie odpowiadają mu jej kwalifikacje?

– Przepraszam. – Wstała z fotela. – Może jednak nie dla mnie ta klinika. Domyślam się, że szukacie lekarza pierwszego kontaktu z większym doświadczeniem.

– Doktor Ross, proszę usiąść – powiedział Leith znudzonym tonem. – Trudno o lepsze referencje. Pamiętam, jak pracowała pani na pokładzie Mercy Ship i nie mam najmniejszych zastrzeżeń.

Usiadła, przygryzając wargę. Jest przewrażliwiona? Zdaje się, że spotkanie z nim bardziej ją poruszyło, niż się spodziewała.

– Widzę, że była pani w Afganistanie – odezwała się Rose. – Proszę nam o tym opowiedzieć.

Poczuła, jak przyspiesza jej tętno.

– Zostałam tam oddelegowana po raz drugi. W Afganistanie cywile są praktycznie pozbawieni opieki medycznej, a najbardziej cierpią dzieci. Spędziłam tam dziewięć miesięcy. Nasza praca pod wieloma względami niewiele się różniła od tej na Mercy Ship albo w Sudanie. Zakładaliśmy punkty medyczne, gdzie przyjmowaliśmy potrzebujących, a w niektórych przypadkach wyjeżdżaliśmy do szpitali.

Pominięła to, że każda taka wizyta wymagała eskorty wojskowej.

– Dzieci, których nie można było operować na miejscu, kierowaliśmy do Anglii albo do Stanów. Niestety, zapotrzebowanie na pomoc medyczną

często przekraczało nasze możliwości.

– Chyba możemy jakoś wesprzeć ten program – Rose zwróciła się do Leitha. – Nasi lekarze raz w roku przez dwa, trzy tygodnie pracują jako ochotnicy w różnych placówkach w kraju albo za granicą. Myślę, że znalazłoby się w Anglii kilku chirurgów chętnych ratować małych Afgańczyków. – Uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Mój mąż ma szerokie znajomości i potrafi być wyjątkowo przekonujący.

Cassie odwzajemniła uśmiech.

– Byłoby fantastycznie.

– Nasza praca czasami łączy się z wyjazdami. Czy to dla pani problem?

– Ależ nie. Nie mam tu nikogo.

Leith milczał, ale Rose odetchnęła z ulgą.

– To cenna informacja. Staramy się sprawiedliwie dzielić tymi wyjazdami, ale ponieważ niektórzy z nas mają dzieci... – spojrzała na Leitha – w miarę możliwości wolimy siedzieć w domu.

To znaczy, że Leith ma prawo do opieki nad Peterem. Wcale jej to nie zdziwiło.

– Nieważne gdzie, dla mnie najważniejsza jest praca. Lubię pracować – dodała pośpiesznie, widząc, że Leith i Rose wymienili spojrzenia.

– Jak pani spędza wolny czas? – zapytała Rose.

Leith wbił w nią wzrok.

– Biegam... – Zawahała się. – Lubię teatr, spotkania ze znajomymi. – Nie do końca skłamała, bo sprawiało jej to przyjemność. Dawniej.

– Nasza klinika się rozrasta. Zaczynaliśmy we dwoje z mężem i kilkoma pielęgniarkami, ale dwa lata temu przejęliśmy sąsiedni budynek, gdzie teraz jest niewielka sala operacyjna oraz w pełni wyposażony gabinet rentgenologiczny. Chociaż bywają większe placówki, nas ten standard

zadowala, tym bardziej że panuje tu, przyjazna atmosfera, i chcemy to utrzymać. Jeśli nasze pytania są może... nadto dociekliwe, to tylko dlatego, że bardzo nam na tym zależy. Drugi powód to nasi pacjenci. Są wśród nich członkowie rodziny królewskiej, politycy, gwiazdy mediów i sportu. Wszyscy liczą na naszą dyskrecję, więc musimy każdego kandydata dokładnie sprawdzić. Mam nadzieję, że pani to zrozumie.

Cassie odetchnęła.

– Doktor Ballantyne i inni lekarze oprócz tego udzielają się też w pobliskim szpitalu – ciągnęła Rose.

– W razie potrzeby będzie pani miała dostęp do tamtejszego sprzętu.

– Znakomicie. – Sama praca byłaby wspaniała, gdyby nie to, że przyjdzie jej spotykać się z Leithem.

Teraz to Rose wstała, by podać jej dłoń.

– Mamy jeszcze dwoje kandydatów, a decyzję podejmiemy po dyskusji z całym zespołem.

– Kiedy poznam jej wynik? – Cassie starała się nie okazać niepokoju, że decyzja może być negatywna, bo już dłużej bez pracy by nie wytrzymała.

– Najpóźniej jutro wieczorem – obiecała Rose.

– Co myślisz o tej kandydaturze? – zapytała Leitha, gdy Cassie wyszła z pokoju.

Nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Cassie to wyjątkowy lekarz. Ale jaką ma motywację?

Gdy ją zobaczył, poczuł niemal szok. Na nic okazało się wmawianie sobie, że o niej zapomniał.

Zmieniła się. W dalszym ciągu wydawała mu się piękna, może nawet piękniejsza, niż zapamiętał, ale jakaś zamknięta w sobie. Z oczu zniknął dawny blask, wydawała się wręcz... zagubiona.

Co ją zmieniło? Śmierć bliskiej osoby mogłaby tłumaczyć smutek, ale chyba nie aż tak głęboki. Coś się wydarzyło w Afganistanie? Dręczy ją to, co tam widziała? Czy po prostu czuła się nieswojo w jego obecności? Nie powinna się tym przejmować, bo on nie zamierza odgrzewać starego romansu, który dla niej i tak okazał się bez znaczenia.

Ale w dalszym ciągu chciałby ją obejmować, uwolnić od smutku wyczierającego z oczu. Chciałby ją rozweselić, by znowu usłyszeć jej śmiech. Oszalał? Wtedy nietrafnie ją ocenił, a teraz jego życie jest zbyt skomplikowane, żeby do niego wróciła.

Zorientował się, że Rose czeka na odpowiedź.

– Mam pewne wątpliwości. Na tyle, na ile ją poznałem, niezbyt blisko – zastrzegł się – ta rola chyba do niej nie pasuje.

Prawdę mówiąc, wcale jej nie poznał. Nigdy by się nie spodziewał, że Cassie odejdzie bez pożegnania, co dowodnie pokazało, że nie zamierzała kontynuować znajomości.

– A mnie się spodobała – oświadczyła Rose. – Uważam, że pasuje idealnie.

Potrafi znowu z nią pracować? Oboje są dorośli, a to, co było między nimi, to przeszłość. Skąd więc te wątpliwości? Cassie ma najwyższe kwalifikacje, zdecydowanie wyższe niż pozostali kandydaci, zatem należy zaufać intuicji Rose.

– Skoro spodobała się tobie, to i Jonathanowi się spodoba – odparł. – Bardzo potrzebujemy pediatry. Zobaczymy, co powie reszta zespołu, a poza tym musimy jeszcze przyjąć pozostałych kandydatów.

– Owszem, ale ich CV nas nie zachwyciły, prawda? Myślę, że powinniśmy ją zatrudnić. Tak mi podpowiada intuicja.

Wzruszył ramionami.

– Niech tak będzie, pod warunkiem że Jonathan ją zaakceptuje.

Rose spojrzała na niego uważnie.

– Dobrze wiesz, że Jonathan ma do mnie stuprocentowe zaufanie, a ty sam nie masz zastrzeżeń do jej kwalifikacji. To chyba najważniejsze?

Gdyby Rose wiedziała, co ich łączyło, być może jego wahanie byłoby dla niej bardziej zrozumiałe. Jednak nie miało to nic wspólnego z jej kwalifikacjami. Ta decyzja powinna się opierać wyłącznie na przesłankach profesjonalnych.

– Dobra, wygrałaś – rzucił nonszalanckim tonem. – Doktor Ross zostaje z nami.

– Przyszedł mi do głowy genialny pomysł – oznajmiła Rose, przekładając papiery. – Zaproszę ją na nasze weekendowe spotkanie w Cavendish Hall, żeby w warunkach mniej oficjalnych poznała cały zespół. Co o tym sądzisz?

Widząc jej rozpromienioną twarz, nie miał serca wyrazić wątpliwości, czy dla Cassie weekend w domu szefa będzie relaksujący.

– Świetnie, ale myślę, że jak najszybciej powinnaś ją o tym zawiadomić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Obudził ją własny krzyk. Odczekała, aż serce się uspokoi, by zacząć normalnie oddychać.

Każdej nocy nękał ją ten sam koszmar. Idzie gdzieś, aż nagle tuż przed nią wybucha kula ognia. Pada na ziemię i nasłuchuje wołania o pomoc. Ale nie może się podnieść, bo cała prawa strona ciała stoi w płomieniach. Przerażające. W pewnym sensie nawet bardziej niż w rzeczywistości.

Była dopiero szósta, ale Cassie pospiesznie włożyła spodnie i T- shirt, wyszła z domu i zaczęła biec w kierunku Hyde Parku.

Czy dzisiaj dostanie pracę? A jeśli tak, to czy ją przyjmie? Reakcja jej serca na widok Leitha po prostu ją przeraziła. Może nie powinna z nim pracować? Z drugiej jednak strony można to uznać za dobry znak, dowód, że jeszcze nie wszystko w niej umarło.

Jego obojętność ją zasmuciła. Ma kogoś? Nie zauważyła obrączki, ale wielu mężczyzn jej nie nosi. Co z Peterem? Mieszka z nim? Pokręciła głową. To nie jej interes. Zasapana pomyślała, że dawniej przebiegała dwa razy dłuższy dystans, ale tygodnie bezruchu na szpitalnym łóżku osłabiły mięśnie oraz uszczupliły wydolność płuc. Zawróciła.

Już w domu z zadowoleniem rozejrzała się po mieszkaniu. Każda rzecz na swoim miejscu, tak jak lubi. Odsunęła od siebie podszepty, że jej umiłowanie porządku odbiega od normy. Przecież to nikomu nie szkodzi, a jej daje poczucie, że nad wszystkim panuje.

Kierując się do łazienki, zauważyła czerwone światelko automatycznej sekretarki. Natychmiast rozpoznała ten głos. Rose Cavendish z prośbą, by jak najszybciej oddzwoniła.

Dom doktorostwa Cavendish znajdował się półtorej godziny jazdy od Londynu, ale ona chciała znaleźć się tam jak najpóźniej, czując, że najbliższa doba może się okazać dla niej wyjątkowo trudna.

Rose radziła wziąć ze sobą porządne buty i płaszcz przeciwdeszczowy, Cassie jednak, pamiętając, że często w podobnych okolicznościach do kolacji obowiązuje strój wieczorowy, na wszelki wypadek spakowała stosowną sukienkę z długimi rękawami zasłaniającymi blizny na ramionach. Jeśli okaże się zbyt skromna, trudno. Dawniej biegała po sklepach w poszukiwaniu najmodniejszych ciuchów, ale teraz nie miała na to energii ani ją to nie interesowało.

Musi się otrząsnąć. Zamiast rozpamiętywać przeszłość, wykorzystać drugą szansę. Zaczęła od złożenia CV w znanej klinice na Harley Street.

Gdy zajechała przed Cavendish Hall, Rose stała na schodach, obserwując małą dziewczynkę, która podlewała kwiaty niewiele mniejszą od siebie konewką. Spoglądała na nią z macierzyńską czułością. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają, pomyślała Cassie ponuro, ale siebie w tej roli nie widziała.

Rose powitała ją szerokim uśmiechem, po czym podbiegła do niej, objęła i pocałowała w oba policzki.

– Witaj w Cavendish Hall. Wszyscy już przyjechali i bardzo chcą cię poznać. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że wyciągnęłam cię z domu. Szczycimy się tym, że panuje tu swobodna atmosfera, nie tak jak za czasów ojca Jonathana. Niestety, odszedł dwa lata temu. Na początku był wobec mnie bardzo krytyczny, ale jak urodziła się Daisy, stał się słodki jak miód. Och, ale się rozgadałam! Przyznam ci się – szepnęła Cassie na ucho – że w roli pani domu ciągle okropnie się denerwuję.

Po raz pierwszy od dawna Cassie się roześmiała, ujęta bezpośredniością

szefowej.

Rose wzięła ją pod ramię.

– Katie, nasza fizjoterapeutka, jest w środku i bardzo chce cię poznać. Ma wielki brzuch i jest udręczona upałem. Jonathan, jej mąż Fabio i Leith gdzieś poszli oglądać ogrodzenie, no wiesz, to męska sprawa. Na pewno wkrótce się odnajdą, bo już pora na herbatkę.

Zerknęła na dziewczynkę, która ciągnęła ją za spódnicę.

– Ten krasnal to Daisy. A to Benton, bez którego Cavendish Hall popadłby w ruinę.

Benton, mężczyzna zdecydowanie już niemłody, mruknął coś pod nosem, ale widać było, że uwielbia swoją chlebobawczynię.

– Benton, proszę, odzyskajcie Jonathana i powiedzcie mu, że przyjechała doktor Ross.

Chwilę, później poznała Katie, dziewczynę wielkiej urody o gęstych jasnych włosach i wielkich szarych oczach.

– Nie wstawaj, nie wstawaj! – zawołała Cassie.

– Dzięki, nie będę się gramolić. Trwa to co najmniej dziesięć minut. Rose, nie masz innego fotela, w którym bym się nie zapadała? – zapytała Katie, ciepło się uśmiechając pod adresem pani domu.

– Wiem od Rose, że niedługo rozwiązanie – odezwała się Cassie. – Na pewno bardzo się cieszysz.

– Cieszę? – zapytała Katie z wesołym błyskiem w oczach. – Jestem znudzona, mam tego dosyć, jestem wielka jak wieloryb i się boję. Nikt mnie nie ostrzegł, że tak będę się czuła.

– Słoneczko, jesteś piękna. – Przystojny mężczyzna o oliwkowej cerze pocałował ją w policzek.

W tym geście kryło się tyle czułości i uczucia, że Cassie poczuła ucisk

w gardle. Jak by to było, gdyby ktoś tak kochał ją? Spojrzała w stronę drzwi i na widok Leitha serce jej zamarło.

Przyglądał się jej, stojąc oparty o ościeżnicę. Taki pociągający w ciemnych džinsach i szarozielonym T- shircie podkreślającym muskulaturę. Cholera, ciągle go pożąda! Odwróciła wzrok.

Katie klepnęła Fabia po rękę.

– Cassie, poznaj mojego męża.

Obok niego stał ciemnowłosy mężczyzna, sądząc po podobieństwie do Daisy, Jonathan.

Leith jest sam? Bez towarzyszki? A gdzie jego synek? Nie zasądono mu opieki nad Peterem? Zrezygnował?

– Witamy w Cavendish Hall – odezwał się Jonathan.

– Mam nadzieję, że masz wszystko, co może ci być potrzebne.

– Kochanie, jeszcze jej nie pokazałam pokoju. Zrobię to po podwieczorku. Ulokowałam cię w zachodnim skrzydle, obok Leitha, żeby Daisy wam nie hałasowała. Odpowiada ci?

– Wszędzie będzie mi dobrze. Rozpakować się mogę później, ale teraz chciałabym się trochę odświeżyć. – W rzeczywistości potrzebowała kilku minut z dala od Leitha, by ochłonać.

Gdy wróciła do gości, w salonie panował gwar. Zatrzymała się w drzwiach, czując się osamotniona. Czy kiedykolwiek pozna uczucie przynależności zamiast wykluczenia? Będzie beztriosko gawędziła i śmiała się, jakby liczyły się tylko te chwile? Czowała się swobodnie wśród ludzi, którzy ją akceptują, zamiast oceniać?

– Okej?

Drgnęła. Zamyślona nie zauważyła, że podszedł do niej Leith.

– Jasne. Dlaczego miałoby być nie okej?

– Nie wiem, ale coś mi mówi, że nie czujesz się tu dobrze. Być może jako grupa jesteśmy trochę onieśmielający.

– Jak pamiętasz, nie potrafię się odnaleźć w dużych skupiskach – odparła dopiero po chwili,

– Cassie, pamiętam wszystko. Ciebie nie można zapomnieć. Chodźmy stąd. – Wskazał na Jonathana, który czytał książeczkę Daisy, oraz na Fabia i Katie, którzy głowa przy głowie zaśmiewali się z jakiegoś żartu. – Oni się nie obrażą. Pewnie nawet nie zauważą naszego zniknięcia. Musimy... – zniżył głos – porozmawiać.

– Chyba nie mamy o czym – wyszeptała. – Jakiś czas temu pracowaliśmy razem i mieliśmy krótki romans. O czym tu rozmawiać? – Wzruszyła ramionami.

Przez chwilę przyglądał się jej spod opuszczonych powiek, po czym wyprowadził ją na dwór. Musiała się poddać, by nie budzić podejrzeń reszty towarzystwa. Już na zewnątrz uwolniła rękę. Przez jakiś czas szli w milczeniu w stronę zagajnika na granicy posiadłości.

– Dlaczego wróciłaś do Londynu? – Zaskoczył ją tym pytaniem. – Musiało się stać coś ważnego, że zrezygnowałaś z pracy dla Korpusu. O ile dobrze pamiętam, byłaś zdecydowana zostać tam jak najdłużej. Zdecydowana do tego stopnia, że nie zostawiłaś mi nawet numeru telefonu, tylko krótką notkę.

– Przepraszam, ale uznałam, że tak będzie lepiej.

– Cassie, byłem przekonany, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Nie mogłem pogodzić się z myślą, że odeszłaś bez pożegnania.

– Napisałam ci, że nie lubię pożegnań. Wiedzieliśmy oboje, że nie ma dla nas przyszłości. Ty miałeś syna, a ja... umowę z Korpusem.

– Którą teraz zerwałaś. Umawialiśmy się, że będziemy w kontakcie –

wytknął jej. – Co się zmieniło?

Udała, że nie wie, o co mu chodzi.

– Jak powiedziałam, umarła bliska mi osoba, zostawiając mi mieszkanie. Musiałam się tym zająć.

– Cassie, to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Nie było sensu utrzymywać kontaktu. Do ciebie to nie dotarło? Byliśmy razem bardzo krótko. Ty miałeś swoje życie, ja swoje. Nie chciałam czuć się zobowiązana mglistymi obietnicami trudnymi do dotrzymania. Oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę. – Wcale nie było jej lekko. – Chciałam lecieć do Sudanu wolna. Kilkumiesięczna rozłąka nie wyszłaby nam na dobre.

– Cassie, nawet nie spróbowałaś. – Potrząsnął głową. – Tak, teraz widzę, że miałaś rację. Było nam razem dobrze, ale teraz widzę... że okazaliśmy się inni, niż druga strona sobie wyobrażała. Masz rację, to, co się wydarzyło w Afryce, należy do przeszłości. – Patrzył jej w oczy. – Dlaczego zrezygnowałaś z pracy w Korpusie? Mieszkaniem mogłaś się zająć w trakcie urlopu albo wyznaczyć pełnomocnika. Jaki był inny powód tej rezygnacji? Zrobiłaś to dla kogoś?

Serce waliło tak mocno, że zaczynało się jej kręcić w głowie.

– Nie, nie było nikogo – wykrztusiła. – Po prostu przyszedł czas coś zmienić, a powierzyć pełnomocnikowi mieszkanie Marthy... Kochałam ją bezgranicznie; więc uznałam, że jestem jej to winna.

– Przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy... To twoja przyjaciółka?

– Można tak to nazwać. Była bardzo stara, ale na szczęście umarła nagle, nie cierpiała. Nie chciałaby, żeby choroba ją od kogoś uzależniła. – Musi jak najszybciej zmienić temat, by Leith się nie dowiedział, ile niania dla niej znaczyła. – Porozmawiajmy o tobie. Jesteś z kimś? Ożeniłeś się? Co

dzieje się z Peterem?

Leith nie spuszczał z niej wzroku.

– Nie, nie ożeniłem się.

Co za ulga! Nie dopuszczała do siebie myśli, że mógłby się związać z inną kobietą.

– Jeśli chodzi o Petera, nie poszło tak gładko, jak myślałem. Najpierw musiałem udowodnić, że jestem jego biologicznym ojcem, potem przysła kolej na walkę z opieką społeczną. – Spochmurniał. – To był prawdziwy koszmar. Widziałem Petera dwa razy u jego babci. Nie były to udane wizyty. Mój syn mnie nie lubi.

Z przerażeniem pomyślała, że stało się to, przed czym go ostrzegła. Biedny maluch. Niezależnie od tego, jak niedobra jest matka, rozstanie z nią to koszmarny wstrząs.

Podobnie Leith musiał przeżyć niechęć dziecka.

Dotknęła jego ramienia.

– Peter potrzebuje czasu, żeby się z tobą oswoić.

– Jestem w kontakcie z matką i siostrą Jude i tylko od nich wiem, co się z nim dzieje. Nie przestaję się o niego martwić. Podobno Jude prowadzi się coraz gorzej. Babcia zabrała go do siebie, a Jude ma ograniczone prawo do wizyt do czasu orzeczenia, kto ma go wychowywać.

Niech szlag trafi system, który potrzebuje tyle czasu, żeby zdecydować o losie dziecka.

W jej przypadku system też się nie sprawdził. Biedny dzieciak.

– Szczęście, że są ludzie, którzy go kochają i się nim opiekują. Może uda się Jude namówić na terapię? Chyba tak byłoby dla wszystkich najlepiej.

– Jude już wcześniej chodziła na terapię, ale nic to nie dało. Zdołałem przekonać jej matkę i siostrę, żeby poinformowały sąd, że Jude jest

narkomanką. To zrozumiałe, boją się, że Jude straci prawa rodzicielskie, a one kontakt z nią. Ale mało mnie to obchodzi, bo chcę mieć syna tutaj, gdzie nic mu nie zagraża.

Niestety to nie koniec problemów. Co by się stało z nią, z małą Cassie, gdyby matka nie umarła, a ona nie trafiła do rodziny zastępczej? Może matka znalazłaby sposób, by rozsądnie pokierować swoim życiem i odzyskać córkę? Niezależnie od jej wad Cassie bardzo ją kochała, bo mimo wszystko dawała jej o wiele więcej niż przybrani rodzice.

– Nie byłoby lepiej, gdyby miał jakiś kontakt z matką? – zaryzykowała.
– Pod okiem babci i cioci.

Rzucił jej spojrzenie pełne niedowierzania.

– Chyba tak nie myślisz?!
– Twój syn nie skorzysta na takiej walce.
– Chcę mieć wszystkie prawa rodzicielskie. Nie zabronię mu kontaktu z matką, ale chcę, żeby był bezpieczny. Swoim postępowaniem Jude sama odebrała sobie prawa do Petera. Jako pediatra chyba zdajesz sobie sprawę, że u mnie będzie mu lepiej?

Jako lekarz musiała przyznać mu rację, ale nie prywatnie. Znowu zaczęła ją boleć głowa. Ona i Leith nie mogą być razem. Zbyt wiele wysiłku włożyła w to, by się pozbierać, żeby teraz angażować się w życie drugiej osoby, zwłaszcza Leitha.

– Wracam do pokoju. Muszę się rozpakować.

Chwycił ją za ramię.

– Cassie, dlaczego zdecydowałaś się wysłać CV akurat do tej kliniki? Z takimi kwalifikacjami mogłaś zatrudnić się wszędzie.

Spojrzała mu w oczy.

– Zapewniam cię, że nie ma to związku z twoją osobą. Jestem dobrym

lekarzem lubianym przez pacjentów, a dla mnie liczy się tylko to. –
Uśmiechnęła się.

– Obiecuję, że nie sprawię ci zawodu.

Zdołała dotrzeć do swojego pokoju, nikogo po drodze nie spotykając. Rozpakowała się, a następnie przebrała w płaszcz kąpielowy i ruszyła do łazienki.

Rose bardzo się kajała, pokazując jej łazienkę w końcu korytarza. Tłumaczyła się, że mają w planach gruntowną przebudowę rodowej siedziby Cavendishów, ale kiedy się ma dziecko i pracę...

Cassie zdążyła polubić zarówno Cavendishów, jak i Linehamów. W innych okolicznościach nawet mogłaby się zaprzyjaźnić z Rose i Katie, ale ona nie ma przyjaciół.

Z uczuciem ogromnego zmęczenia zanurzyła się w wannie. Ile ją to kosztuje wysiłku... Jakby przyszło jej przebijać się przez otaczający mur. Mimo że przypisywała to łagodnej formie stresu pourazowego, wcale nie było jej przez to lżej.

Rozważała możliwość pójścia na terapię, ale na samą myśl o tym, że musiałaby opowiedzieć, co ją, spotkało, mówić o sobie, robiło się jej niedobrze. Ukojenie znajdowała jedynie w pracy, w pomaganiu innym.

Wyszła z wanny i otuliła się w płaszcz kąpielowy.

W połowie korytarza natknęła się na Leitha, który przepasany tylko rękawnikiem zmierzał w jej stronę.

– Łazienka jest tam. – Wskazała za siebie.

– Dziękuję, już tam byłem.

Żeby go wyminąć, aż otarła się o ścianę i wtedy płaszcz zsunął się jej z ramienia.

– Co to jest?! – Leith chwycił ją za rękę i pociągnął bliżej światła.

– Nic takiego, wypadek. – Próbowwała się wyrwać.

– Całkiem spory wypadek – mruknął, wodząc palcem po bliźnie. – Taka rana musiała się goić miesiącami.

Nareszcie uwolniła ramię.

– Leith, proszę, nie chcę o tym rozmawiać. Przepuść mnie.

– Cassie, o czym mi nie powiedziałaś? – mruknął. – Możesz mi zaufać.

Nadal jestem twoim przyjacielem.

– Nie warto o tym mówić, naprawdę.

Zawahał się, po czym odgarnął jej mokry kosmyk z czoła.

– Gdybyś chciała porozmawiać, to wiesz, gdzie mnie szukać. – Odsunął się, by ją przepuścić.

Zszedłszy do salonu, zastała tam wszystkich gości. Już od progu stało się dla niej jasne, że przesadnie się wystroiła. Zrobiło się jej głupio.

– Cassie, jak ładnie wyglądasz! – Rose chwyciła ją za rękę. – Zmarzniesz, bo nie rozpaliliśmy w kominku.

– Jest połowa lata – rzuciła Cassie swobodnym tonem.

Leith z drinkiem w ręce stał w drugim końcu pokoju. Gdy wymienili spojrzenia, poczuła, że ziemia usuwa się jej spod stóp. Odwróciła wzrok, skupiając się na kieliszku z szampanem, który podał jej Jonathan.

– Kochanie, jakie mamy plany na jutro? – Jonathan zwrócił się do żony.
– Z Leithem i Jonathanem chętnie byśmy postrzelali do rzutków. Cassie, masz ochotę jechać z nami? Bo Katie nie chce się ruszać, a Rose pewnie będzie chciała zostać z Daisy.

– Ja też z wami pojedę! – obruszyła się Rose. – Jutro dołączy do nas jeszcze Vicki, Julie i Jenny, więc pomyślałam, że zrobimy sobie piknik.

– Przepraszam, że wcześniej was nie uprzedziłam – wtrąciła się Cassie.
– Jutro z rana muszę was opuścić. Zapomniałam o tym. – Czuła, że nie ma siły

spędzić całego dnia w towarzystwie Leitha.

– Wielka szkoda – zmartwiła się Rose. – Mimo to bardzo nam miło, że znalazłaś czas, żeby spędzić z nami dzisiejszy wieczór.

Z domu rozległ się odgłos gongu.

– O, pani Hammond daje znak, że kolacja gotowa. Chodźmy. Leith, podaj ramię Cassie.

Z bijącym sercem wkroczyła do wielkiej jadalni, gdzie już od progu poczuła się jak w krainie z baśni. długim stole paliły się świece, których blask odbijał się w zastawie z kryształu i porcelany.

Widząc jej minę, Rose lekko się uśmiechnęła.

– Ojciec Jonathana życzył sobie, żeby stół był zastawiony właśnie tak, jak za czasów jego dzieciństwa, a my kontynuujemy tę tradycję.

– Jeszcze nigdy nie siedziałam przy jednym stole z rodziną lorda – zauważyła Cassie, bo nic lepszego nie przyszło jej do głowy, ponieważ rozpraszało ją ciepło płaców Leitha na ramieniu.

Goście wybuchnęli śmiechem.

– Szybko się zorientujesz, gdzie Rose i Jonathan mają arystokratyczne tytuły – poinformowała ją Katie. – Nie spotkałam mniej arystokratycznej pani domu niż Rose.

– Katie! – ofuknęła ją Rose. – Nie rób mi przykrości.

Wbrew tym słowom w jej oczach igrały wesołe iskierki. Wskazała Cassie miejsce. Niestety na wprost Leitha.

– Wychowałam się w kochającej, ale bardzo zwyczajnej rodzinie na londyńskim osiedlu. Nie czuję się lady Cavendish. A ty, Cassie, skąd pochodzisz?

O rany, nie należało przyjmować tego zaproszenia. I gdzie indziej się zatrudnić.

– Ojciec jest związany z pewnym bankiem, a mama... w mediach.
– Dziennikarka? – zainteresował się Fabio.
– Niezupełnie. Jest... była korespondentem wojennym.
– Dobry Boże – odezwał się Jonathan. – Jak jej na imię?
– Lily. Lily Savage. To jej panieńskie nazwisko.
– Jesteś córką Lily Savage? – zdumiała się Rose. – Nawet nie wiedziałam, że ma dzieci.

Nic w tym dziwnego.

– Teraz już nie wyjeżdża na tereny objęte wojną. Kręci filmy dokumentalne.

– Jaki niesamowity zbieg okoliczności – odezwała się Katie. – Mama Fabia też pracuje w mediach, a on dobrze poznał życie dziecka sławnych rodziców, prawda, kochanie?

Zwracając się do Cassie, Fabio uśmiechnął się z przekąsem, ale i zrozumieniem.

– Bywa ciężko.

Znają ją tak krótko, a już dają jej odczuć, że jest im bliska. Porażona tą myślą odetchnęła głębiej.

– To prawda, bywa ciężko. – Przeniosła spojrzenie na Leitha. – Jacy są twoi rodzice?

– Zawsze tacy sami. Cieszę się, że miałem całkiem zwyczajne dzieciństwo. Wychowywałem się pod okiem kochających i niezamożnych rodziców na niewielkiej farmie na wyspie Skye.

– Ale to cię nie ograniczało, prawda? – zapytała Katie.

– Wręcz przeciwnie. Rodzice wpoili mi przeświadczenie, że można zostać, kim się zechce, jeśli się uwierzy w siebie.

Rose uniosła kieliszek.

– Wypijmy za wiarę w siebie – zaproponowała. – Ja też dużo zawdzięczam rodzicom.

Cassie zazdrościła im całym swoim jestestwem.

– Katie, a ty?

– Moi rodzice też są zwyczajni. Sława to domena Fabia. – Na moment zamknęła oczy. – Miałam brata. Był lekarzem w wojsku. Rok temu zginął w Iraku.

Cassie poczuła mdłości, w głowie huczały jej eksplozje, oczami duszy widziała rozpryskującą się ziemię. I nagle martwa cisza. Chyba bardziej przerażająca niż to, co działo się przed chwilą.

– Dobrze się czujesz? – Głos Leitha docierał do niej jak przez mgłę.

Weź się w garść! Nie tutaj! Kątem oka zauważyła, że Fabio chwyta żonę za rękę.

– Katie, przepraszam. – Zmusiła się, by przełknąć kęs tego, co miała na talerzu. Co to było?

– Porozmawiajmy o czym innym – odezwał się Leith, po czym na jej szczęście rozmowa przeszła na tematy zawodowe.

Po kolacji w końcu wstali od stołu.

– Czy to będzie wielki nietakt z mojej strony, jeżeli już was opuszczę? – zapytała Cassie. – Trochę boli mnie głowa.

Poczuła na sobie wzrok pięciu osób, ale wymknęła się, nim ktokolwiek zdążył zareagować.

Że też musiała trafić akurat na tych ludzi. Nie, nie są niesympatyczni, wręcz przeciwnie. Ich przychylność płynie z głębi serca. I na tym polega problem. Bo ona nie chce się wiązać.

Przypomniała sobie, jak z ciężkim sercem opuszczała Mercy Ship. Nie tylko dlatego, że nie pożegnała się z Leithem. Chciała się wymknąć

niepostrzeżenie, ale mimo wczesnej pory natknęła się na pielęgniarki, które całując ją i serdecznie przytulając, jasno dawały do zrozumienia, że traktują ją jak rodzinę.

Podobnie mogło być w Afganistanie, ale tam już nie pozwoliła sobie na nawiązanie jakichkolwiek więzi. Było to piekielnie trudne, ale tak jest lepiej. Bo nikt nie cierpiał, przynajmniej emocjonalnie.

A Leith? Od tamtej pory upłynęło półtora roku, a na jego widok serce znowu bije jej mocniej. Ale tej kobiety, którą wtedy lubił, już nie ma. Wkrótce to do niego dotrze. Potarła pulsujące skronie, bo ból głowy wcale nie był wymówką.

– Jaka jest wasza opinia? – zapytała Rose. – Dobrze zrobiliśmy, angażując Cassie? Leith, przestań tak chodzić, usiądź.

Cassie zachowuje się dziwnie, co do tego nie ma wątpliwości, myślał. Zauważył jej reakcję, kiedy Katie wspomniała o poległym bracie. Do tego te blizny. Jaką skrywa tajemnicę? Czego nie chce mu powiedzieć?

I przede wszystkim dlaczego?

– Uważam, że to dobry wybór – oświadczył Jonathan.

– Mnie odpowiada – powiedział Fabio. – Za tydzień, dwa pójdę na urlop, więc taki pediatra jak ona bardzo nam będzie potrzebny.

– Leith, nie żałujesz? Znasz ją najlepiej. – Rose uniosła wysoko brwi.

– Na Mercy Ship była fantastyczna – odparł zgodnie z prawdą. – Zbierała pochwały ze wszystkich stron.

– Jego wątpliwości nie miały nic wspólnego z kwalifikacjami Cassie, prywatne emocje nie powinny zatem mieć wpływu na profesjonalną opinię. – Byłem za i tego się trzymam.

– Jonathan podniósł się z fotela.

– Sprawa załatwiona. Niech zacznie od poniedziałku.

Gdy rozchodzili się do pokoi, Leith nie ruszył się ze swojego miejsca. Cassie znowu zaistniała w jego życiu, a on nie był pewien, czy dobrze się stało.

Znowu ten sen. Stoi w polu. W pierwszej chwili myślała, że jest sama. Zdawała sobie sprawę, że pole jest zaminowane, musiała tak stać, dopóki ktoś jej nie wybawi.

Nagle usłyszała płacz. Z lewej strony. Wydobywał się spod czegoś, co wyglądało jak leżąca na ziemi bezładna sterta ubrań. Ale to Linda. Była ranna, więc Cassie musiała do niej podejść, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Linda podnosi się z ziemi, potyka. Cassie próbuje ją ostrzec, kazać jej nie ruszać się z miejsca, ale głos więźnie jej w gardle. Jak na filmie w zwolnionym tempie widzi, że Linda się odwraca i z uśmiechem podnosi stopę, żeby do niej podejść. Cassie odzyskuje głos:

– Nieee!

Leith wyskoczył z łóżka, niepewny, czy usłyszał wołanie sowy czy lisa. Nasłuchując, podszedł do okna.

O tej porze roku nawet w nocy na dworze panuje ledwie półmrok. Ciemno robi się znacznie później i na krótko. Wspominał miniony wieczór. Nie bardzo wiedział, co sądzić o spotkaniu z Cassie po tak długim czasie.

Odkąd się rozstali, myślał o niej często, aż za często. Nieraz przychodziło mu też do głowy, by ją odszukać, ale pochłonięty sprawą w sądzie o opiekę nad Peterem i pracą, nie znalazł na to czasu.

O wilku mowa... Dostrzegł ją, dopiero gdy wzrok oswoił się z półmrokiem, a ona się poruszyła.

Co tam robi?

Chociaż się zmieniała, nadal poruszała jego zmysły.

Na Mercy Ship niemal uwierzył, że poznał kobietę swojego życia. Ale... pojawił się Peter. Teraz wróciła i chociaż wcale nie jest przekonany, że to dobry znak, musi sobie z tym poradzić.

Cassie stała pod drzewem, opierając czoło o jego pień. Pospiesznie wciągnął dzinsy i sweter, bosy zbiegł na parter, chwycił ze stolika latarkę i wyszedł na dwór.

Stąpił bezszelestnie, więc Cassie zobaczyła go, gdy dzieliło ich zaledwie kilka kroków. Kiedy na niego spojrzała, wydawało mu się, że w jej oczach dostrzega ulgę i coś jeszcze, czego nie potrafił nazwać. Wtedy się wyprostowała i zrozumiał, że to złudzenie.

– Ach, to ty – powiedziała bezbarwnym głosem. – Co tu robisz o tej porze?

– A ty? Co tu robisz?

– Nie mogłam zasnąć, postanowiłam się przejść.

– To dobry pomysł. – Pokazał jej latarkę. – Jest tu ścieżka, która prowadzi do pawilonu letniego. Trudno ją znaleźć, jeśli się nie wie o jej istnieniu.

Popatrzyła na dom, po czym uśmiechnęła się blado.

– Wygląda na to, że częściej spotykamy się po ciemku.

– Uśmiechnęła się szerzej, a on znowu zobaczył Cassie, którą znał wcześniej, a przynajmniej wydawało mu się wtedy, że ją zna. – Czy wielkie pająki nadal cię atakują?

Uśmiechnął się.

– Nie, ale jestem ci wdzięczny, że nikomu o tym nie powiedziałaś.

– Milczę jak grób.

Ruszyli ścieżką.

– Mam nadzieję, że ten wieczór za bardzo cię nie zmęczył. – Mimo że

Cassie sprzed półtora roku nie peszyła obecność kilku osób, wołała własne towarzystwo albo jego.

– Oni są przesympatyczni. Wszyscy – odparła. – Chyba każdy chciałby z nimi pracować.

Co to jest? – pomyślał. Cassie dobrze to ukrywa, ale czuł, że jest wewnętrznie rozdygotana. Zbladła, gdy Katie wspomniała o bracie. A do tego te blizny... Coś musiało się wydarzyć w Afganistanie. Jakaś tragedia. Ugryzł się w język, by o to nie zapytać. Jeszcze zdąży się dowiedzieć.

– Chcemy, żebyś zaczęła od poniedziałku. – Bacznie ją obserwował. – Możesz? Nie rozmyślałaś się?

– Może być od poniedziałku – odrzekła po chwili namysłu. – Gdybym zamierzała zmienić zdanie, nie wysyłałabym wam CV ani nie przyjęła zaproszenia do Cavendish Hall.

Nie zabrzmiało to przekonująco.

– Boisz się współpracy ze mną?

– Niby dlaczego? Ta nasza... hm... przygoda wydarzyła się miesiące temu. To nie powód, żeby się unikać.

– Nic więcej? Przygoda? Przysięgnęłbym, że to było coś większego.

Uśmiechnęła się smutno.

– Było cudownie, naprawdę cudownie, i nie żałuję ani chwili, ale chyba przyznasz, że ani cię, ani mnie nie interesowało nic trwałego.

Co miał odpowiedzieć? Że wydawało mu się, że to coś więcej, że ona też tak czuje? Pomylił się, a Cassie ma rację. Po co rozgrzebywać coś, co wydarzyło się miesiące temu? Nagle Cassie zadrżała.

– Chyba już wrócę do siebie.

Ignorując jej protesty, zdjął sweter, po czym ją nim okrył, z rozbawieniem widząc, że sięga jej do kolan.

Gdy spojrzała mu w oczy, dostrzegł w nich błysk, co pozwoliło mu dalej wierzyć, że niezależnie od słów Cassie to, co było między nimi, nie umarło.

TTLR

ROZDZIAŁ PIĄTY

Siedziała na brzegu krzesła, obejmując kurczowo kubek z kawą niczym linę ratunkową. Tego dnia po raz pierwszy od czasu Afganistanu miała przyjąć pierwszych pacjentów. Denerwowała się, ale też bardzo chciała wrócić do pracy.

Wszyscy witali ją uśmiechem: Jenny, recepcjonistka, oraz pielęgniarki, Vicki i Julie. Nawet sprzątaczką Gladys.

– Jak będziesz dla niej miła – szepnęła Rose – to i ona dobrze cię potraktuje. Sprząta tu od czasów stryja Jonathana i pewnie przeżyje nas wszystkich.

– Przejdźmy do konkretów – odezwał się Jonathan.

– Vicki ma sześciu pacjentów, Julie tak samo – wyliczała Rose. – Jonathan dwunastu przez cały dzień, Leith siedzi w poradni, a tobie, Cassie, przypadło dwoje oraz te niezapisane dzieciaki. Zgadzasz się?

– Im więcej, tym lepiej.

– Spokojnie, z czasem będziesz pracować na pełnych obrotach. Chodzi o to, że nasi pacjenci są bardzo przywiązani do swojego lekarza. – Rose spojrzała na Leitha.

– Zgłosi się do ciebie incognito księżna Fotheringham na badanie prenatalne. Zapisałam ją na samym końcu, kiedy już nikogo nie będzie. Ponadto zażyczyła sobie, żebyś wraz z drugim lekarzem w nadchodzącym miesiącu odwiedził ją na ich wyspie na Morzu Karaibskim. Na kilka dni. Prosiła o Fabia, ale jego wtedy nie będzie. Cassie, mogę cię zapisać na tę wyprawę?

Podniosła wzrok znad kubka. Byle nie z Leithem, pomyślała, ale nie

mogła odmówić.

– Oczywiście. Czy ona rzeczywiście potrzebuje pediatry?

– Księżna urodziła się przedwcześnie, a jej matka kilka razy poroniła, więc to zrozumiałe, że nie czuje się zbyt pewnie – wyjaśnił Leith. – Kiedy tam się pojawimy, będzie w trzydziestym tygodniu, a ponieważ do dobrego szpitala jest stamtąd daleko, na wszelki wypadek zamówiła i pediatrę, i położnika. Gdybym miał tutaj ciężarne tuż przed rozwiązaniem, to bym odmówił, ale skoro nie mam...

Znowu ogarnęły ją wątpliwości, czy dobrze zrobiła, przyjmując pracę akurat w tej klinice. To diametralnie inne zajęcie niż w Afganistanie czy Sudanie. Czy będzie umiała zajmować się pacjentami, którzy nie są naprawdę chorzy, a tylko wymagający?

Szybko się przekonała, że jej obawy były nieuzasadnione, bo okazało się, że jej druga pacjentka, nastolatka, ma powiększone węzły chłonne. Cassie podejrzewała, że to mononukleozą. Niepewna swojej diagnozy, zwróciła się do Leitha o radę, a on poinformował ją, które laboratorium może szybko wykonać badania. Mimo że zareagował uprzejmie, wydał się jej... mało sympatyczny.

Wysłała krew nastolatki do badania i poszła do recepcji, by się dowiedzieć, czy jest jeszcze coś do roboty, bo czuła, że bezczynność ją zabije.

Recepcjonistka odłożyła słuchawkę.

– Zadzwoił Fabio i mówił, że Katie ma lekkie skurcze. Prosił, żebyś go zastąpiła. Jak będziesz miała pytania, masz do niego dzwonić. Albo zapytać Leitha.

Leith siedział tuż obok.

– Po prostu mnie zawołaj.

– Okej.

– Zajmij się teraz panią Mohammed. Tą panią z córeczką.

Mniej więcej trzyletnia dziewczynka siedząca na kolanach matki z niepokojem spoglądała na Cassie.

– Jestem doktor Ross – Cassie przedstawiła się matce. – Zapraszam do gabinetu.

– Nie! – wrzasnęła dziewczynka. – Nie chcę! Mama, ja chcę do domu!

– Skarbie, pani doktor nie zrobi ci nic, co by bolało. Pani doktor ci pomoże.

Dzieciak wtulił się w matkę.

– Masz na imię Jasmine, prawda? – zapytała Cassie.

– Bardzo ładnie.

Dziewczynka wbiła w nią wzrok.

– Moja mamusia nazywa się Imani. Też ładnie.

– Oczywiście. A ja mam na imię Cassie.

– Jesteś doktorem?

– Tak, ale nie strasznym.

– Nie lubię doktorów.

– Jasmine, ja tylko zajrzę ci do gardła i posłucham twojego serduszka.

Jasmine znowu przywarła do matczynej piersi.

– Wiesz co, Jasmine? Najpierw osłucham tego misia.

– Sięgnęła na półkę po pluszaka. – On też marnie się czuje, ale musisz mi pomóc.

W końcu zdobyła zaufanie małej na tyle, by ta pozwoliła się zbadać, oczywiście pod warunkiem, że i miś podda się badaniu. Zgodnie z przewidywaniami nie dolegało jej nic poważnego, więc Cassie zaleciła kilka dni w łóżku. Ale wstając z fotela, pani Mohammed, krzywiąc się z bólu, dotknęła brzucha.

– Mamusię boli brzuszek. Bardzo.

– To prawda?

Pani Mohammed przytaknęła.

– To nic poważnego. Przejdzie mi.

– Jasmine, posiedzisz chwilę z pielęgniarką, żebyśmy mogła porozmawiać z twoją mamą?

Gdy dziewczynka pokręciła głową, stało się jasne, że nic nie rozdzieli jej z matką.

– Jasmine, pokaż misiowi, co jest za oknem.

Tym razem dziecko posłuchało. Wzięło misia i zaczęło mu opowiadać o ptakach za oknem.

– Mogę panią zbadać w obecności Jasmine? – zapytała Cassie po zakończeniu wywiadu z panią Mohammed.

Pacjentka przytaknęła.

Badając palpacyjnie jamę brzuszną, Cassie wyczuła, że jest tam coś, czego nie powinno być.

– Myślę, że powinien panią zbadać doktor Ballantyne. To nasz ginekolog i położnik. On na pewno będzie wiedział więcej, co sprawia pani ból.

Pani Muhammed pokręciła głową.

– Nie pójdę do lekarza mężczyzny.

Cassie zniżyła głos.

– Wobec tego skieruję panią do szpitala. Tam będzie kobieta ginekolog.

– Nie trzeba, naprawdę nie trzeba. Nie warto sobie zawracać tym głowy.

Cassie jednak była innego zdania.

– Czy mogę porozmawiać z doktorem Ballantyne, zanim pani wyjdzie?

– Jeśli to konieczne...

Cassie pospieszyła do jego gabinetu.

– Cassie, co się stało?

– Potrzebuję twojej porady. – Pospiesznie mu zrelacjonowała objawy pani Mohammed. – W trakcie badania coś wyczułam, ale nie jestem pewna co. Oczywiście, trzeba zrobić kompleksowe badanie krwi.

Leith podnosił się zza biurka.

– Mam ją zbadać?

– Tak byłoby najlepiej, ale ona sobie tego nie życzy.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Podejrzewam, że zgodzi się wyłącznie na kobietę lekarza.

– Rozumiem. – Wrócił za biurko i się zamyślił. – Hm, w ciągu najbliższej doby na pewno nic się nie zmieni. Oprócz badania krwi na twoim miejscu zrobiłbym też USG jamy brzusznej. Zapytaj ją, czy zgadza się, żeby Vicki ci pomogła. Porozmawiamy, jak będziesz miała wynik. – Bębnił długopisem o blat biurka.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoiła się.

Milczał tak długo, że zwątpiła, czy odpowie.

– Czekam na telefon od adwokata – wycedził przez zęby. – Dowiem się, czy dostanę prawo do częstszych widzeń z Peterem, a może nawet prawo do wspólnej opieki. Decyzja zapadnie jeszcze dzisiaj.

Bezwiednie uściśnęła mu dłoń.

– Leith, życzę ci, żeby się udało. Jestem przekonana, że będziesz świetnym ojcem.

Gdy spojrzał jej w oczy, aż wstrzymała oddech.

– Dla mojego syna zrobię wszystko. Bo mu się to należy.

Tego popołudnia praktycznie nie miała chwili oddechu, ponieważ przyjmowała pacjentów, którzy zgłosili się bez zapowiedzi. Pod koniec pracy

zaszła na kawę do pokoju lekarzy. Zastała tam Rose.

– Jak poszło?

– Nie spodziewałam się aż tylu pacjentów. Ale to mi odpowiada.

– Staramy tak rozłożyć zapisy, żeby mieć popołudnia wolne dla tych niezapisanych – odparła Rose. – Zorganizowanie tego nie jest łatwe, zwłaszcza gdy ktoś z nas musi wyjechać za granicę.

– Przyznam, że nie spodziewałam się takiego wyjazdu tak szybko, ale nie narzekam – zastrzegła się Cassie.

– Kto by nie chciał polecieć na Karaiby?

– Od kiedy mamy Daisy, Jonathan i ja rzadko wyjeżdżamy, a teraz Fabio nie chce się ruszać z Londynu, więc zostałam ty i Leith, ale jeśli on dostanie prawa rodzicielskie, to odpadnie. – Zerknęła na Cassie. – Podoba ci się Londyn? Zamierzasz tu osiaść?

– Lubię Londyn, ale nie zapuszczę tu korzeni. Prawdę mówiąc, wątpię, żebym gdziekolwiek osiadła.

– Czy to znaczy, że nie masz nikogo? Myślałam, że do kogoś takiego jak ty faceci pchają się drzwiami i oknami.

Cassie się skrzywiła.

– Nie myślę się wiązać. Za bardzo kocham niezależność, żeby z niej rezygnować.

– Małżeństwo to niekoniecznie rezygnacja z niezależności. Wręcz przeciwnie. – Rose uśmiechnęła się rozmarzona.

Cassie nie kryła dezaprobaty. W małżeństwie nie widziała nic zachęcającego. Ojciec opuścił jej biologiczną matkę, kiedy dowiedział się o ciąży, a jej rodzice adopcyjni trzymali się razem wyłącznie dla zachowania pozorów. Z tego samego powodu adoptowali dziecko, którego nie potrafili pokochać.

Przypomniała sobie dzień, w którym dowiedziała się, że nie są jej biologicznymi rodzicami.

Nie mogła zasnąć. Wyszła z pokoju, by zejść na dół i poprosić matkę o ciepłe mleko, ale w połowie schodów doszły ją podniesione głosy, więc usiadła na stopniu i zaczęła się przysłuchiwać.

– Już dłużej tego nie wytrzymam! – Doszedł do niej. głos mamusi. – Po prostu nie daję sobie z nią rady.

Nie słyszała odpowiedzi ojca, który zawsze mówił ciszej niż matka.

– Nie obchodzi mnie, co twierdzi opieka społeczna. Nie chcę w swoim domu dzieciaka, który mnie nie słucha. Na pewno znajdą jej nowych rodziców. Ludzi lepiej przygotowanych, żeby zaspokajać potrzeby takiego dziecka.

Jakie potrzeby? – zastanawiała się Cassie. Po co jej nowi rodzice? O co mamusi chodzi?

– Lily, cierpliwości. Zauważ, że jest grzeczna. Może czasami trochę uparta, ale jest miłym dzieckiem. I na pewno z czasem można z niej wykorzenić skłonności odziedziczone po biologicznej matce.

Mało jej wtedy serce nie pękło. Nie wiedziała, co to znaczy biologiczna matka, ale nagle wróciło do niej wspomnienie kobiety, którą kiedyś też nazywała mamusią, inną mamusią, kochającą zawsze prócz chwil, kiedy była chora. Ale ta mamusia się jej pozbyła. A teraz ta nowa chce zrobić to samo.

Biegiem wróciła do łóżka i nakryła się kołdrą. Dokąd odsyła się niegrzeczne dzieci? Do piekła? Tej nocy przysięgła sobie, że zawsze będzie najlepsza. Tak dobra, że już nigdy nikt jej nigdzie nie odeśle. Wkrótce pojawiła się niania Martha.

– Cassie, co ci jest? – Pełen niepokoju głos Rose wyrwał ją z zadumy.

– Nic, nic, w porządku.

– Na pewno? Nagle posmutniałaś.

– Czym miałabym się smucić? – Cassie wzruszyła ramionami. – Mam wszystko, czego mi trzeba do szczęścia.

Leith rzucił pióro na biurko i osunął się na oparcie fotela. Sprawa w sądzie ciągnęła się niemiłosiernie. Po krótkich okresach wzmożonej aktywności zamierała, najczęściej z powodu urlopów kolejnych urzędników.

Nieważne zresztą, jak długo miał czekać, ważne, by uzyskać prawo do widywania się z synem.

Czasami się zastanawiał, czy Cassie aby nie ma racji? Czy można wyrywać dziecko z bliskiego mu otoczenia? Jednak długo się tymi wątpliwościami nie zadręczał. Może by odpuścił, gdyby Jude była lepszą matką, ale Peter ma prawo znać ojca. Wiedzieć, że jest ktoś, kto poruszy niebo i ziemię, a nawet piekło, żeby być z nim.

W tej samej chwili, kiedy poczuł, że dłużej takiego napięcia nie wytrzyma, zadzwonił telefon. Leith porwał słuchawkę, słuchał przez kilka minut, po czym znowu opadł na fotel. Nareszcie koniec. Prawie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Chyba trzeba to pokazać Leithowi – stwierdził Jonathan, gdy kilka dni później Cassie dostała wyniki badań pani Mohammed, która nadal odmawiała zgody na hospitalizację.

– Pokazałabym, gdyby tu był.

– Kurczę, zapomniałem, że go nie ma. Dzisiaj po raz pierwszy ma być u niego Peter, tak?

Przytaknęła.

– Hm, wobec tego musisz do niego pojechać i mu je pokazać. – Zwrócił jej arkusz.

– Wolałabym nie przeszkadzać.

– Jestem pewien, że nie będzie miał nic przeciwko temu. To niedaleko. Czeka, dowiem się, czy jest w domu. – Jonathan sięgnął po słuchawkę. – Jacyś pacjenci na ciebie czekają?

Zaprzeczyła, ale nie miała ochoty widzieć się z Leithem, zwłaszcza gdy będzie u niego Peter.

Niestety po przebiegu rozmowy, domyśliła się, że od tego się nie wymiga.

– Jest w domu – poinformował ją Jonathan. – Chciał zabrać Petera do parku, ale mały odmówił. Odniosłem wrażenie, że się ucieszył, że ktoś przyjdzie.

Nie wyglądało to dobrze.

Niedługo potem znalazła się w eleganckiej dzielnicy przed domem Leitha. I zgodnie z przewidywaniami Jonathana jej przybycie sprawiło Leithowi radość.

– Cassie, zapraszam.

– Nie zostanę długo. Jonathan prosił, żebyś spojrział na wyniki badań pani Mohammed. – Podała mu kopertę.

– Wejdz, żeby chociaż przywitać się z Peterem. – Wyglądał na zdesperowanego.

Przeszła długim korytarzem, mijając pokój jadalny oraz kuchnię, a na ścianach abstrakcyjne obrazy i afrykańskie maski. Zdecydowanie nie był to minimalistyczny wystrój typowy dla mieszkań zamożnych kawalerów. Sprawiał wrażenie prawdziwego i ciepłego domu.

Chłopiec siedział w salonie, na brzeжку skórzanej kanapy, całkowicie niezainteresowany bajką w telewizji, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Peter, to moja koleżanka z pracy, doktor Ross.

Chłopiec omiół ich spojrzeniem, po czym znowu zapatrzył się w dywan.

Przez tę krótką chwilę Cassie dostrzegła w jego oczach to samo zagubienie i osamotnienie co na zdjęciu. Pełna współczucia przysiadła obok niego.

– Cześć. Jak chcesz, możesz do mnie mówić Cassie.

Brak reakcji. Leith przegarnął włosy palcami.

– Peter, przywitaj się. – Popatrzył na Cassie. – Od kiedy tu się znalazł, mówi tylko „nie”. Zrobiłem mu kanapkę, ale nawet jej nie tknął. I nie chce iść ani do parku, ani do biblioteki.

Do biblioteki! Na pewno nie zabierałaby tam sześciolatka. Zauważyła, że chłopiec ściska małego pluszaka.

– Co tam masz? – zapytała.

– Pana Myszka. – Dalej na nią nie patrzył.

– Pan Myszek dobrze się czuje?

– Nie podoba mu się tutaj.

– Dlaczego? Trochę się boi, bo tu jest inaczej? Czy tęskni do swojej mamy?

– On się martwi o moją mamę. On wie, że ona nie lubi być sama.

Leith obserwował ich bezgranicznie zdumiony.

– Twoja mama nie będzie długo sama. Są z nią twoja ciocia i babcia.

– Ale mama woli, jak ja z nią jestem.

– Doskonale to rozumiem – powiedziała Cassie.

Tym razem Peter przeniósł na nią wzrok.

– Robię dla niej podwieczorek – oznajmił z dumą. – Mama mówi, że jestem już taki duży, że mogę być panem domu. – Popatrzył na Leitha. – On wcale nie jest nam potrzebny. Mama mówi, że on chce jej mnie odebrać.

Na twarzy Leitha zdumienie ustąpiło miejsca wściekłości, więc Cassie ostrzegawczo potrząsnęła głową. Nie pora obnażać manipulacje Jude.

– Twoja mama bardzo cię kocha, ale i tata cię kocha. I dlatego chce spędzić z tobą trochę czasu. Nie chce odbierać cię mamie. Chce tylko tobą z nią się dzielić.

– Nie chcę być dzielony. – Peter mocniej przytulił misia.

Wyciągnęła do chłopca dłoń.

– Widzę, że nie bardzo interesuje cię telewizja. Może zamiast tego pójdziemy z tatą do parku. Mijałam po drodze park i widziałam, że są tam różne atrakcje, a potem możemy pójść na hamburgera. Co ty na to?

Chłopiec przyglądał się jej przez chwilę.

– Pójdę, jak ty pójdziesz.

– Przecież powiedziałam, że pójdę z wami. – Uśmiechnęła się. – Najpierw muszę o czymś porozmawiać z twoim tatą, a zaraz potem pójdziemy.

Gdy wstała z kanapy, Leith gestem głowy wywołał ją do kuchni, która wyglądała jak po przejściu tornada. W zlewie sterta naczyń, a na blacie kałuża różowego mleka.

– Co tu się działo?

– Chciałem mu zrobić koktajl mleczny, ale słabo dokręciłem pokrywkę, więc potem musiałem ją wyławiać. W końcu wyszło mi pół szklanki, ale on nawet nie spróbował.

– Leith, daj mu trochę czasu. Postaraj się spojrzeć na tę sytuację jego oczami. On cię nie zna, a poza tym widać, że matka opowiada mu jakieś bzdury.

– Jak ona śmie mówić, że chcę go jej odebrać! – Zacisnął szczęki. – To mnie utwierdza w przekonaniu, że ona nie nadaje się na matkę.

– Może się boi, że Peter pokocha ciebie bardziej niż ją. Ważne, że on ją kocha, więc chyba Jude coś robi dobrze

– Nie zgadzam się, żeby mój syn miał dobrze tylko od czasu do czasu.

– To zrozumiałe. – I dlatego nigdy się z tobą nie związę. Ani z Peterem.

Zaczął przeglądać wyniki badań pacjentki.

– Zgodnie z twoją sugestią zleciłam USG jamy brzusznej – przypomniała mu. – Badanie krwi jest w normie, ale obraz USG był dla mnie niejasny, więc Jonathan zaproponował, żebyś mu się przyjrzał.

– Hm, nie mam wątpliwości, że to torbiel.

– Jakie jest rokowanie?

– Nie najlepsze, ale wygląda to na wczesne stadium. Przede wszystkim trzeba torbiel usunąć. Mam nadzieję, że nie zajdzie konieczność usunięcia jajnika.

– Nawet z jednym można mieć dzieci – zauważyła.

– Owszem, ale jeśli nie zdiagnozujemy pierwotnej przyczyny, stan się

pogorszy. Masz numer jej telefonu?

– Zaraz do niej zadzwonię.

Gdy Cassie udało się namówić panią Mohammed, by następnego dnia zgłosiła się do kliniki, i się rozłączyła, Peter czekał pod drzwiami.

– Idziesz już do domu?

– Nie, skarbie. Przecież mieliśmy iść do parku, zapomniałeś? Potem tata odwiezie cię do babci.

Chłopiec wziął ją za rękę.

– Ale do tej pory będziesz z nami?

Ponad jego głowę w oczach Leitha wyczytała desperację. I w tej samej chwili zrozumiała, że nie ma odwrotu – czy jej się to podoba, czy nie. Już się zaangażowała.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ledwie skończyła wypełniać dokumenty związane z przypadkiem pani Mohammed, do pokoju bez pukania wszedł Leith.

Minęły dwa tygodnie od jej pierwszej wizyty w jego mieszkaniu. W obydwie soboty, kiedy odwiedzał go Peter, byli w kinie i na diabelskim młynie London Eye. Peter nadal ledwie akceptował Leitha, ale przy Cassie trochę się relaksował, aczkolwiek gdy chciała na chwilę zostawić go z ojcem, przerażony czepiał się jej ręki.

– Muszę z tobą porozmawiać. – Zazwyczaj opanowany Leith tym razem był wzburzony.

– Okej. Kawa?

– Nie. Musisz na kilka dni pojechać ze mną na Skye. Zrobisz to?

– Do pacjenta?

– Nie, nic z tych rzeczy. Będę miał Petera na cały długi weekend i chcę mu przedstawić dziadków. Chciałbym, żebyś mi towarzyszyła.

– Dlaczego ja? – zapytała po namyśle.

– Bo wątpię, czy będzie zadowolony, jeśli przyjdzie mu spędzić ze mną cztery dni. – Zawahał się. – Cassie, proszę. Nie umiem go do siebie przekonać. Sama widziałaś, jaki jest dla mnie.

– Z czasem cię polubi. Daj mu trochę czasu.

– Cassie, przy tobie potrafi się zrelaksować, bo masz fantastyczne podejście do dzieci. Lgną do ciebie instynktownie. Na każdej szerokości geograficznej. Pamiętasz synka Marii? Nawet nie mówiłaś jego językiem, a i tak do ciebie lgnął.

Na wzmiankę o Afryce niemal słyszała koncert cykad i szum morza,

czuła, jak Leith ją obejmuje. Otrząsnęła się. O czym rozmawiali? Aha, doktor Ballantyne wpadł na szalony pomysł, żeby z nim i Peterem pojechała na Skye.

Niemożliwe. Jechać gdzieś z Leithem? Do jego rodziców? A gdzie dana sobie obietnica dystansu?

Wobec tego dlaczego poszła z nimi do kina? No proszę, do czego to doprowadziło, a spędzili razem zaledwie kilka godzin.

– Nie sądzisz, że trochę za wcześnie na taki wypad?

Wzrok mu pociemniał.

– Czy ty wiesz, jak długo musiałem o to walczyć?! Nareszcie mam moralne oraz formalne prawo być z synem. I chcę z nim być. Chcę, żeby poznał moich rodziców i wiem, że na Skye mu się spodoba. To idealne miejsce dla dzieci.

– Postaw się w jego sytuacji – powiedziała cicho. – Sam widzisz, że ciągle jesteś mu obcy. Skye będzie dla niego kolejnym obcym miejscem, gdzie spotka nowych obcych ludzi.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale po raz pierwszy pozwolono mi mieć go przez cały weekend. Jeżeli nie zabiorę cię na Skye, to wątpię, żebyśmy się we dwóch dogadali. – Wzruszył ramionami. – Być może oczekuję za dużo i za szybko. Cassie, wyobrażasz sobie, jak się czuję, kiedy on patrzy na mnie niczym na potwora?

– Kochasz go i to jest najważniejsze. Z czasem on w to uwierzy.

– Nie spocznę, dopóki tak się nie stanie. Cassie, pojedziesz z nami? Będę cię potrzebował, dopóki nie zdobędę jego zaufania.

Złagodniała, widząc w jego oczach szczerą rozpacz.

– Leith, nie wiem. Nie ma nikogo innego, do kogo mógłbyś się z tym zwrócić?

– On chce z tobą. Zna tu tylko ciebie, a jak sama zauważyłaś, na razie nie potrzebuje więcej obcych twarzy.

Cholera! Sama się wpakowała.

– Cały weekend, Leith? A klinika? – Mówiąc to, miała świadomość, że z jej strony oznacza to kapitulację.

– Wyjedziemy w sobotę rano, a poniedziałek i wtorek to dni ustawowo wolne od pracy. Tym razem pod telefonem będzie dyżurował Jonathan. Polecimy do Glasgow albo do Inverness samolotem, a dalej pojedziemy autem. – Rozchmurzył się. – Wrócimy pod wieczór we wtorek.

Naprawdę nie chciała przebywać z Leithem ani angażować się w jego życie, ale czy może odmówić? Nie ma żadnych planów na weekend, a poza tym robi to. dla Petera, nie dla Leitha.

– Okej, przekonałeś mnie. Tym razem uległam, ale potem będziesz radził sobie sam, zgoda?

Uśmiechnął się tak, że aż przeszył ją dreszcz.

– Dzięki, Cassie. Jestem ci dożgonnie zobowiązany.

Następnego dnia wezwano ją do dziecka w eleganckiej dzielnicy Kensington.

Pieniądze i tytuły nie chronią przed chorobą, pomyślała, wbiegając na szerokie schody rezydencji. Ale na pewno ułatwiają życie. Niemniej z doświadczenia wiedziała, że rodzice chorego dziecka, bogaci czy biedni, niczym się nie różnią. Boją się i martwią.

Na podstawie tego, co powiedziano jej w recepcji, nie przewidywała, by dziewczynka była poważnie chora, na pewno nie fizycznie. Rozwijała się trochę za wolno, ale wielu rodziców zdecydowanie przesadza.

Otworzyła jej pokojówka. Kurczę, są jeszcze w dzisiejszych czasach ludzie, którzy trzymają służbę?

– Pani wkrótce przyjdzie. Proszę zaczekać tutaj. – Wskazała jej krzesło w przestronnym holu.

Po dziesięciu minutach zaczęła się denerwować. Nawet jeśli dostaje zapłatę za usługi, to pani Forsythe jest nieuprzejma.

Jakiś czas później Cassie wstała z krzesła. Obejrzała już wszystkie portrety oraz obrazy na ścianach i powinna wracać do kliniki. Zdecydowała się zajrzeć do pokoi wychodzących na hol w nadziei, że być może tam znajdzie panią domu. W jadalnym stół zastawiony kryształami i porcelaną, jakby pani Forsythe spodziewała się gości na lunch. W sąsiednim pokoju kanapy i fotele obite nieskazitelnie białym płótnem. Piękne, ale zimne.

Gdy otworzyła trzecie drzwi, doznała prawdziwego szoku. W pierwszej chwili pomyślała, że to magazyn, ale w rogu dostrzegła kojec. Zapewne pani Forsythe usunęła tu rzeczy dziecka na czas wizyty ważnych gości.

Już miała wyjść, gdy zatrzymał ją dziwny odgłos. Odwróciła się. W kojcu stała mniej więcej trzyletnia dziewczynka i obserwowała ją smutnymi oczami. Prawdopodobnie Letitia.

Co to dziecko tu robi? Matka zostawiła je tutaj, gdy spało? Jest tu elektroniczna niania?

Poczuła się dziwnie. Dziecko w tym wieku nie powinno samo zostawać w kojcu.

– Cześć...

Brak reakcji.

– Jak masz na imię?

Dziewczynka przyglądała się jej bez słowa, po czym usiadła i z kciukiem w buzi zaczęła przerzucać karty książeczki. Na szczęście ma chociaż jeden bodziec.

– Proszę mi wybaczyć, że musiała pani na mnie czekać. – W drzwiach

stała kobieta tak chuda, jakby była na granicy wycieńczenia. – Letitia dotrzymywała pani towarzystwa?

Dziwne pytanie.

– To do niej zostałam wezwana?

– Tak.

Kobieta nie podeszła do dziecka, nawet na nie spojrziała. Dziwny układ.

– Co się stało?

– Sama pani widzi. W ogóle jej nie interesuje, co się wokół dzieje.

Cassie zaczęła się domyślać, na czym polega problem.

– Proszę wyjąć Letitię z kojca, żebym mogła ją zbadać.

Kobieta wyjęła córeczkę, ale widać było, że ma w tym niewielką wprawę.

– Na początku miałam nianię. Do szóstego miesiąca. Ale niania odeszła, a mnie nie udało się znaleźć nowej. Mąż nie jest zwolennikiem niań, twierdzi, że powinnam sama się nią zajmować. Wychowywały go nianie, a jemu to się nie podobało. Ale prawdę mówiąc, nie rozumiem, dlaczego oczekuje, że będę się nią opiekować przez cały dzień. – Zniżyła głos. – To strasznie nudne. Przecież nie mogę jej zabrać ani na lunch, ani do siłowni!

Ta kobieta mówi o swoim dziecku jak o niechcianym prezencie pod choinkę, pomyślała z przerażeniem Cassie. Zacisnęła zęby, ignorując zniecierpliwione spojrzenia pani Forsythe, i zbadała dziewczynkę.

– Zapraszam z nią do kliniki w celu przeprowadzenia dalszych badań – powiedziała spokojnym głosem, mimo że wszystko się w niej gotowało.

Była przekonana, że mała Letitia cierpi wyłącznie z powodu braku bodźców oraz rodzicielskiej uwagi. Dlaczego kobiety, które się do tego nie nadają, rodzą dzieci? Z obawy przed zyskaniem piętna kobiety bezdzietnej? Nie miała najmniejszych wątpliwości, że Lily adoptowała ją wyłącznie z tego

właśnie powodu, ale przecież czasy się zmieniły!

– Może pani przyjść jutro? – Chciała mieć trochę czasu, by przedyskutować przypadek Letitii z kolegami, może nawet ściągnąć Fabia, żeby ocenił stan dziewczynki. Oraz pewność, że własne uprzedzenia nie przesłoniły jej zdrowego rozsądku.

– Nie wiem, czy znajdę jutro czas. Czy to coś poważnego?

– Nie, nie zagraża jej życiu, ale chciałabym zobaczyć ją jak najszybciej, żeby zrobić dodatkowe badania.

– Chyba mogę z nią przyjść w przyszłym tygodniu – powiedziała pani Forsythe po chwili namysłu. – Musiałabym najpierw zajrzeć do kalendarza.

– Na litość boską! – Cassie nie wytrzymała. – Nie ma nic ważniejszego od zdrowia dziecka! Jeśli nie ma pani dla niej czasu, to po co ją pani rodziła?
– Czuję, że jeśli zaraz nie wyjdzie, powie tej kobiecie, co o niej myśli.

Pani Forsythe zbladła.

– Hm... wydaje mi się, że nie ma potrzeby...

Ale Cassie jej nie słuchała. Zatrzasnęła torbę i wyszła.

Wszedłszy do kliniki, chciała jak najszybciej zamknąć się w gabinecie, ale nim tam dotarła, wpadła na Leitha.

– Już ochłonełaś? – zapytał.

– O co ci chodzi?!

Poprowadził ją do jej pokoju.

– Dzwoniła pani Forsythe. Była wzburzona. Co ty jej powiedziałaś? Nie przyjdzie do ciebie z Letitią. Twierdzi, że zachowałeś się nieuprzejmie i nieprofesjonalnie.

– Ja?! Ja byłam nieuprzejma?!

– Opowiedz, co się tam wydarzyło.

– Ta kobieta to potwór. Trzyma dzieciaka odizolowanego w kojcu, żeby

jej nie zwracał głowy. Martwi ją, że mała rozwija się wolniej niż dzieci jej koleżanek, ale nie rozumie, że to z powodu braku bodźców i matczynej miłości.

Zaczęła krążyć po pokoju. Czowała narastające napięcie i wiedziała, że upłynie trochę czasu, nim się uspokoi, ale w tej chwili nie mogła się opanować.

– Do śmierci nie zrozumiem, dlaczego niektóre kobiety mają dzieci. Powinien być na to jakiś test. – Leith milczał. – Pani Forsythe pławi się w dostatku, ale jako matka nie umywa się do kobiet, które widzieliśmy w Afryce.

– Wzięłaś pod uwagę, że może jest w depresji?

– Ta kobieta nie jest bardziej przygnębiona niż ja!

– Jesteś pewna? – Usiadł w fotelu, podkładając dłonie pod głowę. – Cassie, co jest grane? Czuję, że już miałaś do czynienia z takimi kobietami jak pani Forsythe.

Po raz pierwszy w zawodowej karierze wykazała się karygodnym brakiem profesjonalizmu, zapomniała o obiektywizmie, czym tak się kiedyś szczyciła. Opadła na fotel obok Leitha.

– Boże... – Oddychała głęboko. – Pierwszy raz tak zareagowałam.

– Każdemu z nas to się zdarza. Na szczęście to ja z nią rozmawiałem i udało mi się ją nakłonić, żeby przyszła do Fabia. Może, niestety, pożalić się Jonathanowi, ale on niekoniecznie we wszystko uwierzy. Niemniej zażalenia pacjentów są w tej klinice traktowane poważnie.

Zacisnęła powieki. Jeszcze nigdy nikt się na nią nie żalił.

– Co gorsza, z powodu mojego zachowania może ucierpieć ta mała, bo matka może całkiem zrezygnować z fachowej porady.

– Myślę, że powinnaś poinformować Jonathana o tym, co zaszło.

Czerwona ze wstydu zerwała się z fotela.

– Tak, masz rację, już do niego idę.

O dziwo, Jonathan wcale się nie zdenerwował.

– Nie mam pewności, czy nie zareagowałbym podobnie, ale... – uniósł do góry palec – nie możemy pozwolić, żeby nasze emocje przeszkadzały nam w niesieniu pomocy pacjentom, a to Letitia jest naszą pacjentką, nie jej matka.

Cassie opadła na fotel.

– Oczywiście. Przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. – Jednak Jonathanowi należało się wyjaśnienie. – Ja... – Oblizła wargi. – Wychowywała mnie kobieta... adopcyjna matka... która nie mogła na mnie patrzeć. Przepraszam, ale mała Letitia obudziła wspomnienia... Nie jestem sobą, od kiedy...

Jonathan bacznie się jej przyglądał.

– Od kiedy?

Nie powie. Z obawy że się załamie, a to byłoby zbyt upokarzające. Wstała z fotela.

– Moje osobiste doświadczenia przesłoniły mi zdolność obiektywnego podejścia. Przepraszam. To się nie powtórzy. – Wyszła z pokoju, pozostawiając osłupiałego Jonathana.

Pod wieczór zajrzała do niej Rose.

– Masz chwilę na kawę? – Nie czekając na odpowiedź, postawiła przed nią kubek. – Czarna, prawda?

Cassie przytaknęła. Domyśliła się, co Rose do niej, sprowadza. Poczula się zażenowana. I zaniepokojona,

Zdecydowali, że nie nadaje się do pracy w tej klinice? Upiła łyk kawy.

– W porządku – powiedziała. – Jeżeli uważacie, że powinnam odejść, odejdę. Rozumiem.

Rose szeroko otworzyła oczy.

– O czym ty mówisz?!

– Jeśli po incydencie z panią Forsythe uznaliście z Jonathanem, że nie spełniam standardów waszej kliniki...

– Coś ty, Cassie?! – Rose się roześmiała. – Każdemu z nas czasem puszcza nerwy, a prawdę mówiąc, sama nie przepadam za panią Forsythe. To jedna z tych osób, które uważają, że powinniśmy rzucić wszystko, kiedy ona ma katar. Gdyby nie Letitia, już jakiś czas temu skreślilibyśmy ją z listy pacjentów.

Odstawiła kubek.

– Nie, Jonathan martwi się o ciebie. On też chował się w rodzinie bez miłości. Powiedział mi o waszej rozmowie, bo się o ciebie niepokoi. – Rose wzięła ją za rękę.

– Bardzo się staramy, żeby w naszym zespole wszyscy czuli się jak w rodzinie, a to oznacza, że zdajemy sobie sprawę, że czasami będziemy mieli różne opinie, a nawet zdarzą się nam potknięcia. Każdy może popełnić błąd, ale w ostatecznym rozliczeniu musimy się wspierać.

Cassie słuchała tego ze ściśniętym gardłem. Nie mogła wydobyć słowa, więc tylko przytaknęła.

– Czy chciałabyś o czymś porozmawiać? Potrafię milczeć jak grób.

W głosie Rose brzmiała szczerza troska. Podobnie jak w głosie Leitha.

– Nie. Już jestem spokojna. Ale dziękuję.

– Nie będę nalegać – Rose wstała – ale gdybyś chciała pogadać, to możesz na mnie liczyć. Absolutnie nikt, nawet Gladys, nie wyciągnie ze mnie twoich tajemnic.

Gdy Rose wyszła, Cassie z trudem opanowała wzruszenie. Ci ludzie prawie jej nie znają, a ona praktycznie naraziła renomę tej kliniki na szwank,

lecz oni troszczą się o nią. Odetchnęła głębiej. Pierwszy raz nie zachowała się perfekcyjnie, ale nikt się z tego powodu od niej nie odwrócił.

Leith nie mógł się skoncentrować. Już kilka razy zaczynał pisać sprawozdanie, ale za każdym razem jego myśli szybowwały w stronę Cassie.

Dziwnie było widywać ją dzień w dzień. Dziwnie, ale miło. Szukał jej wzrokiem i uśmiechał się na jej widok. Podobnie szukał jej obecności na Mercy Ship.

Zły, że ulega wspomnieniom, sięgnął po pióro, po czym od razu je odłożył. To nie ma sensu. Kogo chce oszukać? Miniony tydzień mu udowodnił, że jego uczucie nie wygasło, a nawet buchnęło jeszcze większym płomieniem.

Jednak w dalszym ciągu nie miał pojęcia, co się dzieje pod tą maską spokoju i dystansu, za którą Cassie się kryje, odsłaniając prawdziwą twarz tylko przed Peterem. Z małym jest inna: wesoła i ciepła. Prawdę mówiąc, zazdrościł jej swobodnego podejścia do chłopca. Starał się ją naśladować, ale mu to nie wychodziło.

Dlaczego zaprosił ją na Skye? Przecież powinien sam poradzić sobie z synkiem. Peter nadal okazuje mu niechęć, ale polubił Cassie, która nawet o to nie zabiegała.

Cassie traktuje Petera podobnie jak pacjentów: z dobrocią, cierpliwością i troską. W tej sprawie się co do niej nie pomylił, więc może wcale się nie myli?

Co zaszło u pani Forsythe? Ani razu nie widział, by Cassie straciła panowanie nad sobą, nawet w najtrudniejszych sytuacjach na pokładzie Mercy Ship, a tam ich nie brakowało.

Był przekonany, że coś przed nim ukrywa. Czy to dlatego zeszła na ląd ze statku bez pożegnania? Musi to od niej wydobyć. Może nawet w trakcie

pobytu na Skye?

Popatrzył za okno. Panował upał i zanosilo się na burzę. Pogoda pasowała idealnie do jego nastroju.

Cassie już raz od niego uciekła, ale to się nie powtórzy. Chyba że będzie miał pewność, że ma istotne powody.

TTLR

ROZDZIAŁ ÓSMY

Pełna zastrzeżeń szykowała się do wyjazdu na wyspę Skye. Nieważne, że Leith uważa, że ona ma dobry kontakt dziećmi. Przecież to jej pacjenci! Czy można źle traktować chore dziecko?

To jednak co innego. Peter jest jego synem, a Leith od niej oczekuje, że wejdzie w interakcję z dzieckiem bez bariery ochronnej lekarskiego profesjonalizmu. Jednym z powodów, dla którego od niego odeszła, była niechęć do angażowania się. A teraz robi dokładnie to, czego miała nie robić.

Za późno już, by się wycofać. Teraz nie wypada powiedzieć, że się rozmyśliła. Co ją opętało, że się zgodziła?! Wiadomo. Małe dziecko o smutnych oczach.

Wzdychając, włożyła do torby sukienkę i szpilki, a po chwili namysłu kalosze.

Jeden długi weekend. Potem niech Leith radzi sobie sam.

Samolotem polecieeli do Glasgow, gdzie Leith wynajął samochód. Peter siedział z tyłu i grał w gry na konsoli albo oglądał filmy na DVD kupione przez ojca.

Był małomówny, ale gdy już się odezwał, to uprzejmie. Należało mieć nadzieję, że niedługo zaczną ufać Leithowi w tym samym stopniu co jej.

Gdy zajęchali nad Loch Lomond, zatrzymali się, żeby obejrzyć jachty na wodzie. Chłopiec wysiadł z auta, posłusznie rzucił okiem na jezioro, jakby chciał powiedzieć: „No i co w tym ciekawego?”, po czym zapytał Cassie, czy może już wrócić na swoje miejsce.

Leith był załamany, ale to maskował. Bez słowa otworzył tylne drzwi i zapiął syna w foteliku.

Sytuacja się powtórzyła, gdy przystanęli w dolinie Glencoe. Peter przez moment popatrzył na majestatyczne i groźne szczyty, po czym wrócił do gry.

– Czy wiesz, że rozegrała się tu wielka bitwa? – zapytała Cassie, odwracając się, by go widzieć.

Podniósł głowę, a w jego oczach pojawił się błysk zainteresowania. Po raz pierwszy.

– Byli zabici?

Zerknęła na Leitha. Może to nie najwłaściwsza opowieść dla sześciolatka, ale nareszcie udało się Petera czymś zaciekawić.

– Tak, sporo. Było tak... – Opowiedziała mocno ocenzurowaną krwawą historię konfliktu klanu Campbell z klanem MacDonald. – Czy wiesz, że nawet dzisiaj niektórzy przedstawiciele tych rodów z sobą nie rozmawiają?

Chłopiec się zadumał.

– To głupie. Jak można się gniewać za coś, co się wydarzyło, zanim się urodziliśmy?

– I dlatego nie powinieneś gniewać się o to, co się wydarzyło między twoją mamą i twoim tatą przed twoimi narodzinami – odezwał się Leith.

Cassie cicho jęknęła. Była już tak blisko, a on musiał się wtrącić!

– Jak już będziemy w Skye – odezwała się pośpiesznie, bo Peter spochmurniał – opowiem ci o elfach, które podobno tam mieszkają.

Leith rzucił jej zdumione spojrzenie.

– Byłaś już na Skye?

– Nie, ale jak się dowiedziałam, że mam z wami jechać, przeczytałam parę książek. Lubię zawczasu wiedzieć, co mnie czeka w innym kraju. Lubię być przygotowana, bo nie lubię przykrych niespodzianek.

– Inny kraj! – parsknął śmiechem. – Tak, wielu Anglików uważa Szkocję za inny kraj.

– Nie to miałam na myśli – zachnęła się, odwracając się do Petera, który przysłuchiwał się tej wymianie zdań.

Nim pospiesznie spuścił wzrok, zdążyła się zorientować, że słuchał ich z uwagą.

Udając przerażenie, szeroko otworzyła oczy.

– Stoi tam zamek z ponurym lochem i flagą elfów. Nie wiem, jak ty, ale ja chcę zwiedzić ten zamek. Ale żebyś się nie bała, przydałby mi się odważny chłopiec. Znasz takiego chłopca?

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, po czym pokiwał głową. I lekko się uśmiechnął.

– Ja cię obronię. Ja niczego się nie boję.

– To znaczy, że jesteś bardzo dzielny, bo ja się boję wielu rzeczy. Twój tata też.

Rzucił jej zdziwione spojrzenie.

– Tata boi się pajaków. Kiedy raz z drzewa pajak spadł mu na ramię, to mało nie wyskoczył ze skóry.

– Ej, obiecałaś, że nikomu o tym nie powiesz – obruszył się Leith.

Peterowi się to jednak podobało.

– Pójdziemy do lochu w tym zamku? – zapytał.

– Jasne. Może nawet jutro. Ty, ja i tata.

Peter wyduł wargi.

– Tylko ty.

Zareagowała szybciej niż Leith.

– Jak chcesz. Ale to zależy, jak jutro będziemy się czuli po podróży, okej?

Gdy dotarli do Staffin, Peter spał.

Krajobraz wzdłuż drogi przecinającej wyspę, już od mostu, przez który

na nią wjechali, zapierał dech w piersiach: niesamowite wąwozy, niemal nie z tego świata, i górujące nad nimi postrzępione granie niczym grzbiety prehistorycznych gigantów.

– Człowiek ma tu wrażenie, że jednocześnie jest mały i nieśmiertelny, prawda? – zagadnął ją Leith.

– Łatwo uwierzyć w cuda i elfy.

Po raz pierwszy Leith był tak zrelaksowany. Może dlatego, że miał przy sobie syna, a może z powodu wizyty w rodzinnych stronach. Jak się czuje człowiek, który ma swoje miejsce na ziemi? Wie, że gdziekolwiek by się znalazł, są ludzie, którzy za nim tęsknią?

To musi być wspaniałe uczucie.

Rodzice Leitha czekali na nich przed domem. Cassie od razu dostrzegła rodzinne podobieństwo. Ojciec, już lekko przygarbiony, dorównywał Leithowi wzrostem i miał takie same jak on zielone oczy.

Gdy matka przedstawiła się jako Maggie, a męża jako Robbiego, Cassie natychmiast rozpoznała uśmiech, który często pojawiał się na twarzy Leitha.

Przywitawszy się z ojcem, Leith porwał matkę w ramiona.

– Witaj, synku! – Roześmiała się. – Nie masz pojęcia, jak się cieszymy z tych odwiedzin. Gdzie jest ten młody człowiek, o którym tyle słyszeliśmy?

– Śpi w samochodzie. Zasnął już w Kyle of Lochalsh i chyba będzie spał do samego rana.

– Dobrze byłoby przenieść go, nie budząc, do pokoju – zasugerowała Cassie. – Może się przestraszyć nowych twarzy. Jeśli jest taki zmęczony, to może marudzić.

– Racja – przytaknęła Maggie. – Leith, przygotowałam dla niego pokój sąsiadujący z twoim, a tobie, Cassie, na wprost. Nie wiedziałam, czy zechcecie spać razem, ale jeśli tak, to bez trudu można wszystko zmienić.

Cassie rzuciła mu przestraszone spojrzenie. Gdy pytająco uniósł brwi, pokręciła głową. Nie są parą! Na szczęście rodzice byli pochłonięci zagładaniem do auta, by obejrzeć Petera, i niczego nie zauważyli.

Leith szeroko się uśmiechnął.

– Nie, mamo, nic nie zmieniaj. My tylko pracujemy razem. – Poruszył brwią. – Przyjaźnimy się? – Było to bardziej pytanie niż stwierdzenie, więc przytaknęła. Tak, są przyjaciółmi. Na tyle, na ile ona mu pozwala.

Idąc schodami za Leithem, który niósł śpiącego Petera, miała okazję przez okna oglądać niesamowite widoki skał i morza w blasku księżyca.

– O tej porze roku w nocy nigdy nie jest bardzo ciemno – wyjaśnił. – Tutaj wszyscy mają w sypialniach grube zasłony, żeby się za wcześnie nie zrywać.

Ona u siebie ich nie zaciągnie, bo nie lubi budzić się z koszmarów w ciemnościach.

– Peterowi lepiej nie zasłać okna... – Zawahała się, przypomniawszy sobie swój strach, gdy jako dziecko z jakiegoś powodu obudziła się w obcym pokoju wśród obcych dzieci i dorosłych.

Przestraszona to mało. Sztywna ze strachu, że się pomyli albo coś źle zrobi, i że już nigdy nie wróci do swojego domu. Bo niezależnie od tego, jak postępowali jej przybrani rodzice, uważała ich dom za swój i była gotowa zrobić wszystko, by znowu w nim się znaleźć.

– Myślę, że powinnam spać w jego pokoju, chociaż dzisiaj. Może się przestraszyć, jak się obudzi i nie będzie wiedział, gdzie jest.

Leith spojrzał na nią zdziwiony.

– Wystarczy, że zawoła. Usłyszę go.

– Nie. Tak będzie lepiej, naprawdę.

– Cassie, ty go polubiłaś.

Okryła Petera szczelniej i pochyliła się, żeby go pocałować w czoło.

– Nigdy żadne dziecko nie powinno się bać – szepnęła.

– Cassie...

Nie odwróciła się do niego.

– Dobranoc, Leith, do jutra.

TTLR

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Obudziła się wcześniej, jeszcze przed szóstą, ale przez niezastłonięte okno do pokoju już wlewały się promienie słońca. Gdy podeszła bliżej, by zobaczyć, czy Peter śpi, zauważyła, że chłopiec smętnie wpatruje się w sufit, mocno przytulając misia.

– Dzień dobry, skarbie – powiedziała cicho. – Chcesz już wstać?

Wyciągnął do niej ramiona, więc objęła go i przytuliła.

– To jest dom twojego taty, pamiętasz, co ci mówiliśmy?

Przytaknął.

– A czy zapamiętałeś, że mieszka tu jego mama i tata, twoi dziadkowie?

Nie mogą się doczekać, kiedy cię zobaczą.

Peter znowu kiwnął głową.

– Wobec tego jak się ubierzesz, pójdziemy na rekonesans. Z ogrodu widać morze. Chcesz je zobaczyć?

Kiwnięcie głową. Tym razem bardziej energicznie.

– Gdzie tata?

Cassie się uśmiechnęła. Dobrze, że pyta o ojca. Gdyby tylko udało się jej poskromić oczekiwania Leitha wobec syna, mogliby dojść do porozumienia jeszcze w trakcie tego długiego weekendu.

Pomogła mu włożyć koszulę i spodenki. Gdy sama się ubierała, wdrapał się na fotel stojący pod oknem, za którym ogród ciągnął się aż do morza.

– Zapytamy tatę, czy pójdzie z nami? – Wzięła go za rękę.

Długo się jej przyglądał, po czym pokręcił głową.

Westchnęła. Czy jej obecność nie przeszkadza malcowi w nawiązaniu więzi z ojcem? Niewykluczone, że Peter, podobnie jak ona w dzieciństwie,

uważa, że znalazł się w obcym miejscu za karę. Ona tak by właśnie pomyślała. Nie, jeśli Leith chce więzi z synem, sam musi znaleźć na to sposób. Na razie jednak ona nie może za żadne skarby opuścić tego dziecka.

Na palcach zeszli na parter. Ledwie otworzyli drzwi na dwór, owiała ją morska bryza. Po londyńskim smogu wydała jej się boska. Nad ich głowami kołował orzeł. Peter obserwował go z palcem w buzi, po czym się uśmiechnął. Tak samo jak Leith.

– Chodź, Peter, zobaczmy, co jeszcze odkryjemy przed śniadaniem.

Z pokoju sypialni zobaczył, jak jego syn unosi głowę i uśmiecha się do Cassie. Czy jego rodzony syn kiedykolwiek obdarzy go takim uśmiechem? Najwyraźniej jego i Cassie coś łączy już od pierwszej chwili.

Podobnie osamotniony czuł się, gdy ją poznał. Teraz też dopadło go to uczucie.

Kocha ją. Od dawna. Kurczę!

Trzymając się za ręce, biegną w kierunku morskiego brzegu. Błyskawicznie wypadł z pokoju. Powinien był ją wczoraj ostrzec. Jak mógł o tym zapomnieć?!

Znaleźli się tuż nad wodą.

– Musimy uważać – zwróciła się do Petera – bo stoimy na urwisku. Sam tutaj nie przychodź, okej?

– Okej. – Puścił jej dłoń, by podejść do ptaka, który w trawie szukał pożywienia.

– Stóóój!

Odwróciwszy się, zobaczyła Leitha, który gnał ku nim co sił w nogach. Peter się zatrzymał, spojrział na ojca, włożył kciuk do buzi i zaczął iść w stronę Cassie.

– Stój! Ani kroku dalej! – krzyknął Leith.

Cassie odwróciła głowę i nagle znowu znalazła się w Afganistanie, w samym środku koszmaru.

Biegł, zastanawiając się, dlaczego Cassie stoi nieruchomo jak słup soli. Dlaczego nie idzie ku niemu? Dlaczego w ogóle nie reaguje?

Jeśli Peter do niej podejdzie, nawis pod ich wspólnym ciężarem może runąć do morza!

Nie chciał myśleć, że dwie osoby, które kocha, mogą zginąć. Nie wolno mu okazać strachu, bo wtedy Peter rzuci się w ramiona Cassie.

Przykucnął.

– Peter, podejdź do mnie.

Chłopiec pokręcił głową, po czym zrobił krok w stronę Cassie.

– Peter, proszę, podejdź do mnie. Chcę ci coś pokazać.

Przez chwilę się łudził, że zwycięży wrodzona dziecięca ciekawość, ale gdy Peter zaczął biec do Cassie, zrozumiał, że przegrał.

Nagle poczuła, że coś unosi ją do góry, po czym bezceremonialnie rzuca na ziemię. Krzyknęła, jak przez mgłę słysząc z oddali drugi krzyk.

Szamotała się w płątaniu nóg i ramion. Peter płakał, usiłując się spod niej wydostać, a obok leżał Leith, blady i zasapany.

To nie Afganistan, to Skye. Jest tu z Leithem i nic jej nie grozi.

– Co się dzieje?! – warknęła, odzyskawszy oddech. Usiadła, przytulając Petera. – Skarbie, już jest dobrze.

– Spojrzała na Leitha. – Co ty wyprawiasz?! Przestraszyłeś nas! – Rozejrzała się.

Znajdowali się jakieś trzydzieści metrów od miejsca, w którym wcześniej stała z Peterem. Najwyraźniej Leith ich przeniósł.

– Staliście na półce, która lada chwila może się oberwać. Powinienem był was ostrzec. Gdybym was nie zobaczył przez okno... – Podniósł się z

ziemi. – Wołałem cię. Dlaczego nie odpowiadałaś?

Wstała z Peterem na rękach.

– O co ci chodzi?

– Byłaś biała jak płótno. Bałem się, że Peter do ciebie podejdzie i pod waszym ciężarem nawis runie.

Powinna była zatrzymać Petera, pójść za nim, ale tego nie zrobiła. Bo znalazła się znowu w Afganistanie i znowu zamarła. Dzwoniła zębami i miała miękkie kolana, a Leith podejrzliwie się jej przyglądał.

– Nie... nie wiedziałam, że coś nam grozi – wykrztusiła.

– Każę tę część odgrodzić. Wychowałem się na tym urwisku, więc nawet nie przyszło mi do głowy, żeby cię ostrzec. – Przegarnął włosy palcami. – Jak ja mam o wszystkim pamiętać? Nie ma jakiegoś podręcznika, który przypomina, przed czym należy się zabezpieczać?

– Ależ Leith, skąd mogłeś wiedzieć, że wybiorę się z Peterem na spacer?

– Nie mogłem, ale powinienem był was ostrzec. Następnym razem, zanim gdzieś się wybierzeć, zapytajcie kogoś z nas. Na Skye jest mnóstwo urwisk i półek skalnych, które w każdej chwili mogą spaść.

Czuła, że musi pobyć sama. Postawiła Petera na ziemi, po czym wsunęła Leithowi jego rączkę do ręki.

– Chyba pora, żebyś zaczął się uczyć. Idę się przejść, a ty zaprowadź go do domu.

Peter bez szemrania dreptał obok niego. Dziwne, że mu zaufał akurat w takich okolicznościach.

– Cassie się na mnie gniewa? – zapytał cichutko.

Leith przykucnął przy nim.

– Cassie nigdy się na ciebie nie pogniewa.

– Uratowałeś mnie... I Cassie.

– Mógłbyś... – Miał ochotę skłamać, ale się powstrzymał. Nie, tak nie będzie między nimi. – Nie chciałem, żeby cokolwiek wam się stało. Obiecuję, że ze mną zawsze będziesz bezpieczny. To mój obowiązek, rozumiesz?

Peter przytaknął.

– Ty, ja i Cassie. Razem będziemy bezpieczni.

Wzruszenie ścisnęło Leitha za gardło. Musiał się powstrzymać, by Petera nie przytulić.

– Masz rację, synu. Chodź, teraz poznasz swoich dziadków. Jak się upewnię, że niczego ci nie brakuje, pójdę poszukać Cassie.

– Jestem duży. Możesz mnie zostawić samego. Mama czasami mnie zostawiała i nic się nie stało. Ja się nie boję, nawet jak jest ciemno.

Leith poczuł nagły przypływ złości. Jak Jude mogła zostawiać sześciolatka bez opieki? Uśmiechnął się z przymusem.

– Wiesz co? Mimo że jesteś dużym i dzielnym chłopcem, nigdy nie zostawię cię samego. Dopóki nie będziesz taki wysoki jak ja.

– Ja szybko rosnę. Już prawie sięgam ci do pasa.

– To prawda. Ale, synku, nie rośnij za szybko.

Gdy wrócili do domu, Maggie, matka Leitha, krzątała się po kuchni.

– Witam ranne ptaszki. – Uśmiechnęła się do Petera. – Cześć, Peter. Jestem mamą twojego taty. Wiem, że masz też drugą babcię, więc jak chcesz, możesz mnie nazywać babcią Skye.

Peter obserwował ją przez dłuższą chwilę.

– Masz siwe włosy.

– Tak, mam. Jesteś głodny?

Przytaknął.

– To siadaj do śniadania, a potem pójdziemy po jajka na ciasto.

Na szczęście dla Leitha, który jak najszybciej chciał odszukać Cassie,

Peter grzecznie usiadł przy stole.

– Gdzie Cassie? – zapytała matka. – Jeszcze śpi?

– Nie, już wstała. Poszła na spacer.

– Przestraszyła się – odezwał się Peter, spoglądając na ojca. – Poszukaj jej, bo może zabłądziła.

– Zostaniesz z babcią Skye?

Peter się wahał. Włożył kciuk do buzi, ale zaraz go wyjął.

– Będę grzeczny. Idź po Cassie.

Siedziała zapatrzona w fale rozbijające się o skały. Już wyzbyła się strachu, ale jeszcze nie była gotowa wracać do domu. Powinna być teraz z Leithem i Peterem, ale ich zostawiła, mimo że jej potrzebują. Już samo to pokazuje, że nie nadaje się na rodzica.

Słyszając za plecami szelest, domyśliła się, że to Leith.

– Dobrze się czujesz?

– Dlaczego ciągle mnie o to pytasz?

– Bo najwyraźniej coś jest nie tak. Jesteś inna niż Cassie, którą znałem na statku.

– Wszyscy się zmieniamy. – Ale ona się nie zmieniła. Nadal jest tą Cassie, która się nie sprawdza. Leith tego nie widzi?

– To nie to. Jesteś smutna, a nawet, powiedziałbym, zagubiona.

Smutna? Zagubiona? To okropne, że on ją tak postrzega.

– Cassie, jesteś dla mnie zagadką. – Dotknął jej ramion. – Ciągłe drżysz.

– Wizyta tutaj poruszyła pewne wspomnienia, nie najprzyjemniejsze.

– Nie rozumiem. Podobno nigdy tu nie byłaś.

– Nie, nie chodzi o miejsce, ale o waszą rodzinę... Już na pierwszy rzut oka widać, jak bardzo się kochacie i jak bardzo wam zależy, żeby Peter poczuł, że też jest kochany. Podejrzewam, że zrobiłbyś dla niego absolutnie

wszystko.

Jej rodziną był jej afgański zespół.

– Twoi rodzice cię nie kochają?

Roześmiała się, ale nie zabrzmiało to szczerze.

– Nie każdy ma takich rodziców jak ty.

– Cassie, to niczego nie wyjaśnia. Rozmawiaj ze mną, opowiedz mi o nich. Podobno jesteście przyjaciółmi.

Przyjaciele? Przyjaciele! Czy ten facet naprawdę nie zdaje sobie sprawy, co ona do niego czuje?

Skrzyżował ręce na piersi.

– Nie ruszę się stąd, dopóki mi nie opowiesz.

– Nie ma o czym. Byłam adoptowana i właściwie nigdy mi się nie układało z przybranymi rodzicami. Przez pół roku mieszkają w Afryce Południowej, więc rzadko ich widuję. – Praktycznie nigdy. Wzruszyła ramionami. – To tyle. Ty chcesz być dobrym ojcem, chcesz, żeby Peter był szczęśliwy.

– Oczywiście, ale to nie znaczy, że wiem, jak to osiągnąć. Cassie, czuję, że ojcostwo jest o wiele trudniejsze, niż myślałem. Nie możesz odpuścić swoim rodzicom?

Uśmiechnęła się.

– Nauczysz się. Nikt nie może ci zarzucić, że się nie starasz.

Gdy spojrzał jej w oczy, umknęła spojrzeniem w bok, by nie czytał w jej myślach.

– Leith, dajmy temu spokój.

Odwrócił ją ku sobie i ujął jej twarz w dłonie.

– Cassie, rozmawiaj ze mną.

Pokręciła głową, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

Gdy zaczął ją całować, szukając zapomnienia, poddała mu się bez oporu.

– Już na statku czułem, że się nie mylę – szepnął niedługo potem. – I teraz też to czuję. Wtedy między nami zaiskrzyło i nadal iskrzy. Wiem, że ty też to czujesz. Cassie, nie odtrącaj mnie.

Serce jej pękało. Leith nie zdaje sobie sprawy, jak ona bardzo pragnie, aby było jak dawniej. Wtedy, kiedy wierzyła, że jest przed nimi przyszłość. Zanim zjawił się Peter. Odsunęła się.

– My tylko razem pracujemy, nic poza tym. Nie powinnam się z tobą całować. Dałam ci się zaskoczyć. – Uśmiechnęła się z przymusem. – Wracam do domu.

Szybko odeszła, pomyślał, patrząc za nią, ale nie dość szybko, by nie zauważył żaru w jej oczach. Tego samego pragnienia, które łączyło ich na Mercy Ship. Mógłby się założyć, że jej na nim zależy. Jednak tak samo myślał półtora roku temu, ale się okazało, że niesłusznie.

Oprócz pożądanego wyczytał w jej oczach smutek. Co ją spotkało? Gdy się poznali, była pełna rezerwy, ale teraz kompletnie zamknęła się w sobie. Za wszelką cenę musi się dowiedzieć, co się stało.

Mimo wcześniejszych wydarzeń śniadanie upłynęło w przyjemnej, zrelaksowanej atmosferze. Ku zdziwieniu Cassie Peter nie wykazywał żadnych oznak stresu. Kiedy wróciła do domu, podbiegł do niej i rzucił się w jej objęcia, ale szybko zawrócił do Maggie, by pomagać przy nakrywaniu do stołu.

Po posiłku Maggie mu zaproponowała, by wraz z nią poszedł szukać jajek.

Już wcześniej należało się domyślać, że chłopiec lepiej się czuje w towarzystwie kobiet. Szkoda, że Leith nie może częściej przywozić go do

dziadków. Przynajmniej do czasu, kiedy mały nie oswoi się z ojcem. Wtedy już nie będzie mu potrzebna.

Peter z dumną miną pokazał jej koszyk, a w nim trzy brązowe jajka. Z wielką powagą podał jej pierwsze jajko, drugie wręczył babci. Gdy z trzecim skierował się ku Leithowi, wszyscy wstrzymali oddech, a Cassie modliła się w duchu, by Leith nie powiedział czegoś, co mogłoby chłopca zniechęcić.

– To dla mnie? – zapytał Leith.

Peter się wahał, jakby rozważał, czy nie zmienić zdania, ale w końcu pokiwał głową. Leith z należyty szacunkiem przyjął jajko.

– Mam je zatrzymać czy zjeść na śniadanie?

– Zatrzymać. Aż z niego wyjdzie kurczaczek.

Leith milczał speszony, ale Cassie wyczuła, że zaraz powie coś nieodpowiedniego.

– Obawiam się, synu, że nic z niego się nie wykluje, bo żeby wykluł się kurczaczek, potrzebne jest ciepło jego mamy.

Oj, lepiej było tego nie mówić. Gdy Peter przygryzł wargę, Cassie spiorunowała Leitha wzrokiem.

– Ułożymy je w pudełku... na kilka dni – powiedziała.

Do Leitha chyba nareszcie dotarło, o co chodzi.

– Proponuję, żebyśmy przed wyjazdem oddali je kurzej mamie, zgoda? Bo mogą za sobą tęsknić. – Leith posłał Cassie triumfujący uśmiech.

Peter spojrzał na Cassie, po czym z buzią w podkówkę wybiegł z kuchni. Maggie ruszyła za chłopcem, więc Cassie też wstała od stołu.

– Słaby pomysł – rzuciła, wychodząc z kuchni.

Znowu ten koszmar. Szła, zaśmiewając się z czegoś, co powiedziała koleżanka. Jednej nocy była to Angela, drugiej Linda.

Nagły oślepiający blask i gorący podmuch powalił ją na ziemię. Gdy

odzyskała przytomność, otaczała ją martwa cisza – w miejscu, gdzie jeszcze przed momentem rozbrzmiewał śmiech dzieci i nawoływania kobiet.

Chciała się podnieść, ale nie mogła, chciała coś powiedzieć, ale usta miała pełne piachu.

Popatrzyła tam, gdzie powinna być Angela, a widząc nieruchome ciało, ponownie próbowała wstać., Przewróciła się na brzuch, co udało się jej z niewyobrażalnym trudem, odpoczęła chwilę, po czym zaczęła powoli się czołgać do rannej koleżanki.

I wtedy...

– Cassie, co ci jest?

Nie mogła unieść powiek. Gdzie jest? Coś miała zrobić, ale zapomniała co.

Gdy próbowała podnieść się z łóżka, poczuła, że przytrzymują ją silne ramiona.

– Muszę pomóc...! – krzyknęła, usiłując się oswobodzić. Słyszała własne łomoczące serce.

– Cassie, to sen. Jesteś na Skye. Obudź się. – Leith zwolnił uścisk, czując, że jeśli ją obejmie, przestraszy się jeszcze bardziej. – Cassie, to ja, Leith.

Serce stopniowo się uspokajało.

– Leith...? – Co on tu robi?

– Jesteś bezpieczna. To był tylko zły sen.

Powoli dochodziła do siebie. To nie Afganistan i nikt jej nie woła. Strach już jej nie paraliżuje.

Ale Linda nadal nie żyje.

Wtuliła się w Leitha. Ciepło jego ramion, poczucie bezpieczeństwa poruszyło w niej coś, co sprawiło, że zanosła się płaczem wydobywającym

się z głębi jej skołatanej duszy. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że można aż tak płakać.

Leith w milczeniu gładził ją po głowie.

W końcu się opanowała, odsunęła od niego, by sięgnąć po chusteczkę i zasłonić twarz.

Co ją naszło? Nigdy tak się nie rozkleiła, a na pewno nie w czyjejs obecności. Że też akurat musi to być Leith.

– Powiesz mi, co się stało? – zapytał półgłosem, gdy wycierała nos.

Na szczęście było ciemno, więc nie zobaczy jej twarzy.

– Krzyczałam przez sen, tak? Przepraszam, że cię obudziłam.

– Mam lekki sen.

Chyba wyjątkowo lekki, skoro usłyszał ją przez grube ściany, albo... krzyczała głośniejszym niż zazwyczaj.

– Czas, żebyś mi opowiedziała.

Pokręciła głową, podciągając kolana pod brodę.

– Nie wyjdę, dopóki mi nie powiesz. – Położył się obok. – Być może, jak mi powiesz, te demony znikną.

Bardzo w to wątpiła, ale zapewne za sprawą ciemności, ciepła jego ciała albo dlatego, że nie próbował jej dotknąć, zaczęła mówić.

– To był zwyczajny dzień. Upalny. Ale w Afganistanie zawsze panuje niemiłosierny upał. Stacjonowaliśmy w wojskowej bazie medycznej. Nie leczylimy żołnierzy... ale tam mieszkaliśmy. Było nas pięcioro. Ja, chirurg dziecięcy, dwie pielęgniarki i tłumacz. Do naszych zadań należało przyjmowanie chorych oraz ewentualnie przeprowadzanie zabiegów w miejscowym szpitalu. Brzmi to bardzo ryzykownie, ale my jako cywile, pielęgniarki i lekarze tak tego nie traktowaliśmy. Szpital też był chroniony. Na wszelki wypadek. Wcale się nie bałam.

– Nie miałem pojęcia, że zamierzasz tam pojechać. Powiedziałaś, że wybierasz się do Sudanu.

– Byłam w Sudanie, ale kiedy nadarzyła się okazja przeniesienia do Afganistanu, skorzystałam z niej. – Zawahała się. – Chyba chciałam pokazać, że jestem tak odważna jak moja macocha. – Uśmiechnęła się krzywo. – Jestem po trzydziestce, a ciągle zależy mi na uznaniu rodziców, których nawet nie widuję.

Leith lekko uściśnął jej dłoń.

– Poza tym wiedziałam, że tym ludziom potrzebna jest pomoc. – Nie powie mi, że dni spędzone na statku należały do najszcześniejszych w jej życiu.

Głównie z jego powodu, ale też i dlatego, że to, co tam robiła, sprawiało jej ogromną satysfakcję.

Po raz pierwszy nie starała się spełniać oczekiwań przybranych rodziców, nie starała się być najlepszą uczennicą w klasie, najlepszą studentką na roku czy najlepszą stażystką. Czy Leith potrafi zrozumieć, ile dla niej znaczy być sobą? On na pewno nigdy w sobie nie wątpił ani nie musiał niczego udowadniać.

– Przeszliśmy w wojsku podstawowe szkolenie, co robić w razie ataku albo porwania, takie rzeczy. Jednak do szpitala mogliśmy wyjeżdżać tylko wtedy, gdy wojskowi mieli pewność, że nie wiąże się to z żadnym ryzykiem.

– Mów dalej. – Mimo że tylko trzymał ją za rękę, czuła bijące od niego ciepło i siłę.

– Przez kilka pierwszych tygodni nic się nie wydarzyło. Zżyliśmy się jako zespół. – Głos jej się łamał. Prawdę mówiąc, stali się jej bardziej bliscy niż rodzice, oczywiście oprócz Marthy. – To się stało dwa tygodnie przed końcem... – Jej serce znowu przyspieszyło.

– Transporterem opancerzonym chłopcy podwieźli nas pod sam szpital. Mieli tam czekać, aż wyjdziemy. Do naszej eskorty należała kapitan Linda. To była jej ostatnia misja. Po powrocie do kraju miała wziąć ślub. Była po uszy zakochana w swoim chłopaku.

Zacisnęła powieki.

– Jedna z naszych pielęgniarek, Angela, nie mogła znieść widoku głodnych, wałęsających się przed szpitalem psów i tego dnia odeszła kilka kroków, żeby coś im rzucić. Usłyszałam, jak Linda woła, żeby wróciła. I wtedy z potwornym hukiem detonował jakiś ładunek. Odłamki wbiły mi się w bok, ale ból poczułam dopiero dużo później. Kiedy się rozejrzałam, zobaczyłam, że niedaleko leży Angela. Też była ranna. Krótko mówiąc, chciałam się do niej podczołgać, ale Linda krzyknęła, żebym się nie ruszała... Linda zrobiła krok w jej stronę.

I wtedy doszło do kolejnej eksplozji. Nic więcej nie pamiętam. Ocknęłam się dopiero w szpitalu.

– A ta pielęgniarka? Angela? Przeżyła?

– Tak, dzięki Bogu. Podobno tę minę aktywował pies. Ale na drugą minę weszła Linda... – Westchnęła.

– Linda była bez szans. – Tym razem pozwoliła mu się objąć. – Dlaczego akurat ona musiała zginąć? – Szlochała. – Miała wziąć ślub...

Gładząc ją po głowie, szeptał słowa pociechy.

– Ty nic nie rozumiesz! – Odsunęła się. – To ja powinnam była zginąć.

– Nonsens. To nie twoja wina.

– Ale czuję się winna. Gdybym ruszyła się pierwsza, Linda nie weszłaby na minę.

– Cassie, chyba oszalałaś! Tam mogło być więcej min. Linda była zawodowym żołnierzem, a ty cywilem. Dobrze postąpiłaś, słuchając jej

rozkazu.

– Ona tam była tylko po to, żeby nas osłaniać. Dlaczego ona zginęła, a my żyjemy?

– Nie przyszłoby mi do głowy, że usłyszę, jak Cassie Ross użala się nad sobą – powiedział po chwili namysłu. – To do ciebie nie pasuje.

Poczuła, jakby ją uderzył w twarz. Co on wygaduje?! Ona mu tylko opowiedziała, jak to widzi.

– Nie potrzebuję twojego współczucia – obruszyła się.

– Słusznie, bo wcale ci nie współczuję, a przynajmniej nie z tego powodu, o którym myślisz. Z powodu; tego, co cię spotkało tak, ale to, że bierzesz na siebie winę... Nie, Cassie, to zakrawa na rozczulanie się nad sobą, a podejrzewam, że Linda zasługuje na więcej.

– Gdyby nie my... gdybym podczołgała się do Angeli, Linda nie musiałyby interweniować. I by nie zginęła.

– Linda robiła, co do niej jako żołnierza należało. Wydaje mi się, że przedstawiając te wydarzenia w tak subiektywny sposób, nie wyświadczasz Lindzie wielkiej przysługi.

– Uważasz, że tak robię?! – Zagotowało się w niej. – Zdajesz sobie sprawę, jak to jest żyć na co dzień ze świadomością, że wystarczyłoby sześćdziesiąt sekund, żeby stało się inaczej?! Noc w noc przeżywać to w snach?!

I budzić się z krzykiem?

– Nie, nie mam o tym pojęcia, ale to przejdzie, wierz mi.

Okrył ją troskliwie, jakby okrywał Petera, a potem do siebie przytulił.

– Śpij – szepnął.

– Nie musisz mnie pilnować.

– Kobieto, nie kłóć się. Nie pójdę stąd. – Zapadając w sen, usłyszała

jeszcze: – Już nigdy.

Nareszcie ze mną rozmawia, pomyślał, gdy jej oddech stał się głęboki i miarowy. To, co spotkało ją w Afganistanie, dużo wyjaśnia, ale nie wszystko. Cassie nadal coś ukrywa.

Boże, jak on ją kocha, tę skomplikowaną, hardą i dumną kobietę. Przysiągł sobie, że nie dopuści, by w przyszłości sama musiała stawiać czoło przeciwnościom losu. Tak mu dopomóż Bóg.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo czekał na jej powrót. Jeśli znowu przyjdzie mu czekać osiemnaście miesięcy albo i osiemnaście lat, to niech tak będzie.

Przez resztę nocy nic jej się nie śniło, a obudziła się wypoczęta i spokojna. Najwyraźniej Leith się nie mylił. To, że opowiedziała o tamtych wydarzeniach, pomogło.

Ale być może źródłem tego poczucia bezpieczeństwa jest sama jego obecność? Odniosła wrażenie, jakby już nigdy nie miało jej spotkać nic złego.

W dalszym ciągu leżał tuż obok. Żeby na niego popatrzeć, oparła się na łokciu. Nawet gdy spał, kąciki jego warg nieznacznie drgały, jakby się uśmiechał.

Otworzył jedno oko.

– Dzień dobry.

Zaczerwieniła się zawstydzona, że ją przyłapał, gdy mu się przyglądała.

– Nie było powodu, żebyś tu zostawał na całą noc.

– Chciałem być blisko na wypadek, gdybyś się znowu obudziła. – Kiedy wstawiała, patrzył na nią spod półprzymkniętych powiek. – Ładne, bardzo ładne. To te same, które zgubiłaś, wchodząc na Mercy Ship?

– Coś ty, inne! – obruszyła się, jednym susem rzucając się po szlafrok.

Leith leniwym ruchem podniósł się z łóżka, po czym stanął przed nią,

by zawiązać jej pasek.

– Już lepiej?

Cholera, że też on musi wiedzieć, jak ona na niego reaguje. Mógłby przynajmniej udawać, że nie ma o niczym pojęcia.

– Wyśmienicie – wycedziła przez zęby, ale gdy Leith się uśmiechnął, wybuchnęła śmiechem. – Wiesz co? Chyba naprawdę – dodała, wiążąc włosy w koński ogon.

Gdy ją opuścił, poczuła nagły przyływ energii i wyszła z domu. Maszerowała, dopóki nogi nie dały jej się we znaki. Cały czas rozmyślała o Leicie. Wyobrażała sobie, że są razem, mieszkają na wyspie Skye w jednym z wiejskich domków, chodzą na spacerki nad morze, a po powrocie do domu się kochają.

Czysta fantazja. Nadal go kocha, to jasne, ale jest jeszcze problem Petera. W dalszym ciągu nie widziała się w roli matki, nawet macochy A Leith... Czas im nie sprzyjał, gdy się spotkali na Mercy Ship, teraz też nie jest na to odpowiednia pora.

Mimo to do domu wróciła w świetnym nastroju. Tak dobrze nie czuła się od czasu zejścia z pokładu statku.

W sieni owiał ją smakowity zapach. Idąc jego tropem, zaszła do kuchni, gdzie zastała Leitha, który siedząc w fotelu, czytał książkę Peterowi przycupniętemu na oparciu. Ojciec Leitha rozwiązywał krzyżówkę, a matka ugniatała coś w wielkiej misie.

– Szkoda, że nie umiem piec – westchnęła Cassie.

– Nie umiesz piec? – zapytała Maggie z niedowierzaniem.

– Nigdy się nie uczyłam, a teraz chyba już za późno.

– Głupstwa gadasz! Właśnie mam zamiar upiec bułeczki z rodzynkami.

Jak chcesz mi pomóc, to ci udowodnię, że to wcale nie jest trudne. – Podała

Cassie fartuch, po czym pokazała, jak połączyć masło, mąkę i mleko, by powstało ciasto.

Cassie kątem oka zauważyła, że Peter zsunął się z oparcia fotela tak, że znalazł się obok Leitha.

– Teraz je rozwałkujemy, żeby powycinać kółka. – Maggie zerknęła na Petera. – Masz ochotę nam pomóc?

Ale ku zadowoleniu Cassie chłopiec pokręcił głową i mocniej wtulił się w ojca. Będzie dobrze, pomyślała, dogadają się.

Gdy bułeczki znalazły się w piekarniku, Maggie przystąpiła do pokazu przygotowywania ciasta gotowanego na parze.

– Gotuje się je w ściereczce przez kilka godzin, ale warto, sama zobaczysz – wyjaśniła.

Gdy Leith skończył czytać, Peter przeniósł się do stołu i usiadł, opierając brodę na ręce.

Cassie właśnie wsypywała bakalie do ciasta, a Maggie wyjmowała z pieca pierwszą partię bułeczek.

– Peter, chcesz mieszać ciasto? – zwróciła się do niego Cassie.

Przytaknął, więc przekazała mu drewnianą łyżkę, spoglądając na Leitha. W jego oczach wyczytała tyle miłości, że aż zaparło jej dech.

On patrzył na Petera, nie na nią.

Tego popołudnia zabrali Petera do zamku, na wyprawę do lochów. Cassie tak dobrze udawała strach, że Peter poczuł się w obowiązku nią opiekować. Potem poszli na przechadzkę po koralowej plaży.

Następnego dnia wybrali się do Fairy Glen, Wąwozu Elfów, krainy jak z powieści o hobbitach, gdzie rozłożyli się z piknikiem przygotowanym przez Maggie.

– Nie wierzę w elfy – oznajmił zniechęcony Peter. – Jestem na to za duży.

– Na pewno jesteś bardzo odważny.

– Jak byłem mały, wierzyłem w Świętego Mikołaja – wyznał, przysuwając się do niej tak blisko, że dotykał jej ramienia.

– Już nie wierzysz?

– Nie, bo w zeszłym roku do mnie nie przyszedł.

– Niemożliwe. – Przeniosła wzrok na Leitha.

– Jak myślisz, dlaczego?

– Bo nie zasłużyłem na prezenty. Ale następnego dnia mamusia kupiła mi całą górę zabawek. I domyśliłem się, że to nie Mikołaj przynosi prezenty.

Serce się jej ścisnęło. Doskonale wiedziała, co czuje ktoś, kto bardzo się stara, ale wie, że to zawsze będzie za mało.

Leith coś zamruczał pod nosem.

– Peter... – odezwała się Cassie. – Uważam, że nie ma na świecie chłopca bardziej grzecznego od ciebie.

Chłopiec przytulił się do niej.

– A ty wierzysz w Świętego Mikołaja?

– Wierzę, że cuda czasami się zdarzają – wykrztusiła, wyskubując spośród trawy dmuchawca. – Czy wiesz, że jak się zamknie oczy i dmuchnie, to trzeba o czymś pomyśleć? Niektórzy wierzą, że te nasionka to maleńkie wróżki, które się wtedy rozbiegają, żeby spełnić nasze marzenia.

Podniósł na nią wzrok.

– Już ci mówiłem, że nie wierzę w takie bajeczki.

– Ale to nic nie kosztuje – odparła z uśmiechem. – Spróbujmy.

Ociągając się, Peter wziął od niej dmuchawca, zamknął oczy i dmuchnął.

– Wiesz, o czym pomyślałem? – zapytał, nie patrząc na nią. – Żebyś zawsze była ze mną.

Zaniemówiła. Bała się też spojrzeć na Leitha.

– Och, Peter. Jak będziesz mnie potrzebował, zawsze możesz zamknąć oczy i o mnie pomyśleć. Jeżeli nie będę mogła być z tobą, zaistnieję w twojej głowie.

Tej nocy znowu spała marnie, bo męczyło ją marzenie Petera. Na szczęście stopniowo oswajał się z ojcem, bo ona robi mu to, co stale robiono jej, pomyślała z ciężkim sercem. Będzie zjawiać się w jego życiu i znikać, a jemu trzeba kogoś na stałe.

Jednak co innego opiekować się dzieckiem przez kilka dni, a co innego zapewnić mu stabilizację i miłość dzień po dniu, rok po roku.

Niedługo wyjedzie. Za szybko. Uda się jej przeżyć rozstanie z Leithem? Teraz, kiedy miejsce koszmarów zajęły bajkowe marzenia o małym domku w tak urokliwej scenerii jak wyspa Skye?

Odsuwała od siebie te obrazy, bo już następnego dnia mieli wrócić do Londynu. Potem Leith odwiezie Petera do drugiej babci, a jej umowa z kliniką wkrótce wygaśnie.

Mocno zacisnęła powieki. Leith z rodzicami w kuchni Maggie: tyle ciepła i miłości, tyle radości z przebywania razem. Bardzo dobrze czuła się w towarzystwie Petera, Leitha, Maggie i Robbiego.

Ale to ich bajka, a nie jej.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dwa tygodnie od powrotu ze Skye siedziała w gabinecie, przeglądając wyniki badania krwi jednej z pacjentek, gdy wszedł Leith.

Była zła na siebie, że za każdym razem, gdy go widzi, serce zaczyna jej trzepotać. Raz po raz powtarzała sobie, że z czasem nauczy się żyć bez niego, rozpaczliwie odsuwając od siebie myśl, że przez półtora roku nie udało się jej o nim zapomnieć, ale trudno wmówić sobie, że się kogoś nie kocha.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że na piątek wszystko już zostało zorganizowane. Sekretarka księżnej przysłała mejla z planem naszego pobytu. Lecimy samolotem rejsowym.

– Super. Jak Peter?

– Fantastycznie. – Uśmiechnął się. – Babcia i ciocia zauważyły, że się zmienił, że nareszcie zachowuje się jak mały chłopiec, a nie jak stary malutki. – Przysiadł na brzegu biurka. – Co więcej, Jude zgodziła się pójść na leczenie. Twierdzi, że raz na zawsze chce wyjść na prostą, żeby być dobrą matką dla Petera.

– Leith, fantastycznie! Peter zasługuje na kochającą matkę.

Spoważniał.

– Czy już ci dziękowałem?

– Za co?

– Za pomoc. Dzięki tobie poczuł się ze mną bezpiecznie. Cassie, jesteś idealnym materiałem na matkę.

Czyżby? Nigdy się nie dowie. Odwróciła wzrok.

– To jaki jest plan naszej podróży?

O szóstej rano w piątek była już ubrana. Leith słowem nie nawiązał do

jej koszmarów, ale czasami uważnie się jej przyglądał. Od tamtej nocy zły sen się nie powtórzył, ale tej nie mogła zasnąć. W końcu włożyła dresy oraz adidas i wybiegła na dwór.

Dlaczego tak się przejmuję tym wyjazdem, zwłaszcza że we wtorek będą już z powrotem w Londynie? Co będą tam robić przez cztery dni? Cięża księżnej rozwija się prawidłowo, a wzięwszy pod uwagę, że to dopiero trzydziesty drugi tydzień, mało prawdopodobne, by zanosilo się na poród. Na pewno też księżna nie oczekuje, że będą jej wszędzie towarzyszyć.

Ona też nie musi wszędzie towarzyszyć Leithowi. Przynajmniej miała taką nadzieję. Jedno wiedziała na pewno: kocha Leitha i będzie go kochała do końca swoich dni.

Wróciwszy do domu, wzięła prysznic i włożyła ulubioną sukienkę. Stojąc przed lustrem, stwierdziła, że przybrała na wadze, a kręgi pod oczami zniknęły. Stan zakochania jednak ma swoje dobre strony.

Domknęła walizkę. Spakowała wszystko, co trzeba: bikini oraz stosowny przewodnik. Nie miała pojęcia, jak ma wyglądać ten ich pobyt na wyspie. Będą traktowani jak goście czy płatna asysta? Wolałaby to drugie, bo perspektywa gawędzenia o niczym z księżną i jej towarzystwem napawała ją przerażeniem.

Mimo to świadomość, że będzie gościem księżnej, sprawiała jej perwersyjną przyjemność. Macocha byłaby zachwycona, że Cassie obraca się w tak dobrze urodzonym gronie.

Gdy pod domem zatrafił samochód, wzięła walizkę, zamknęła drzwi i zbiegła na dół.

Leith czekał w czarnym sportowym aucie. Otworzył miniaturowy bagażnik.

– Widzę, że szybko się uczysz. Nie ma szansy, żeby zawartość tej

walizki wysypała się na jezdnię.

Roześmiała się.

– Tak, nie popisałam się wtedy.

– Nikt chyba nie zaprzeczy, że było to wejście z klasą. – Zniżył głos. – Ale żeby ściągnąć moją uwagę, nie musisz rozrzucać bielizny. To już się stało.

Wstrzymała oddech. Nie musiał o tym wspominać. Wolałaby, żeby tak na nią nie patrzył. Wolałaby... o matko, wolałaby znaleźć się znowu w jego ramionach. Bezpieczna i kochana. Otrząsnęła się.

– Nie powinniśmy już jechać? – zapytała, czując ciepło jego uda oraz zapach płynu po goleniu.

– Możemy?

– To lamborghini, prawda? Chyba czterysta koni, tak? – Była mistrzynią konwersacji o niczym. Byle jak najdalej od kwestii osobistych.

– Znasz się na samochodach?

– To moje hobby. Kiedyś brałam udział w rajdach.

Zagwizdał cicho.

– Jakie jeszcze przede mną ukrywasz talenty?

Na statku zawsze zmieniała temat... dotykając go palcami, wargami albo... Teraz znowu zrobiło się jej gorąco. Przecież nie miała zamiaru opowiadać o sobie! Potrząsnęła głową.

– Nic z tego, prowadzę bardzo nudne życie.

– Wątpię. – Uśmiechnął się. – Najpierw Mercy Ship, potem Sudan, a jeszcze potem wyprawa do Afganistanu, która omal nie skończyłaby się tragicznie. Większość ludzi nie ma takich doświadczeń przez całe życie, a co dopiero w ciągu dwóch lat.

Zaczerwieniła się pod jego pełnym podziwu spojrzeniem. Nagle ją

uderzyło, że Leith wie o niej więcej niż ktokolwiek inny. I, o dziwo, wcale jej to nie przstraszyło.

Wysepka okazała się wyjątkowo malownicza, a powietrze przesycone zapachem drzew oliwnych i ziół.

Księżna („Mówcie do mnie Catherine”) przyjęła ich z otwartymi ramionami.

– Mam nadzieję, że nie będziecie się tu nudzić – powiedziała. – Nie ściągałabym was z tak daleka, gdyby nie moja matka. Jest taka opiekuńcza... Ale chyba wszystkie matki są opiekuńcze?

Spojrzała na Cassie, która uśmiechnęła się z niejakim przymusem.

– Proszę, nie czujcie się do mnie przywiązani. Wystarczy, że będę mogła do was zadzwonić o każdej porze. Ta wyspa jest tak mała, że nie da się odjechać dalej niż na kilka kilometrów. Ale czujcie się zaproszeni do nas. Jest tu kilkoro moich przyjaciół. Mamusia przyleciała na dwa dni i pojutrze wyjedzie.

– Nie chciałabym przeszkadzać – powiedziała cicho Cassie. – Prawdę mówiąc, mam kilka książek do przeczytania, a poza tym chciałabym zwiedzić wyspę.

– Tak myślałam – odparła Catherine – dlatego umieściłam was w Domku Kapitana, niedaleko stąd, z niesamowitym widokiem. Jest tam wszystko, co potrzebne do życia, a także kucharka i sprzątaczką. Ale jeśli wolicie zatrzymać się w rezydencji, powiedzcie tylko słówko... Kiedy będziecie mieli ochotę na lunch albo kolację, proszę, przychodźcie do nas. Tutaj nie obowiązuje żadna etykieta.

Cassie nie była zachwycona perspektywą zamieszkania z Leithem pod jednym dachem, ale zanim otworzyła usta, Leith odpowiedział w ich imieniu.

– Mnie to odpowiada, a tobie, Cassie? – Oczy mu się śmiały. Czy on

zdaje sobie sprawę, jak bardzo ją peszy?

Udała obojętność.

– Tak będzie najprościej. – Mimo zaproszenia, nie widziała się w rezydencji księżnej. – Nami się nie przejmuj. Na pewno sami sobie poradzimy.

– Okej, ale proszę, przyjdźcie na kolację ostatniego dnia pobytu na wyspie. Będzie dużo gości i chyba będzie dobra zabawa. – Uśmiechnęła się. – Mam okropne wyrzuty sumienia, ale sama wasza obecność podziała uspokajająco na mnie i na mamę.

Domek Kapitana zachwyił Cassie. Miał kształt górnej części latarni morskiej i był przeszklony od sufitu do podłogi. Stał na wzgórzu, skąd rozciągał się panoramiczny widok na piaszczyste plaże i dżunglę.

Rezydencja księżnej znajdowała się pięćdziesiąt metrów niżej. Przed wzrokiem ciekawskich osłaniał ją zagajnik.

Za Domkiem Kapitana stał niewielki budynek.

– Tutaj mieszka moja żona i córka Tess – poinformował ich szofer. – Josie, moja żona, jest tu kucharką i gosponią, a ja z przyjemnością zawiozę was wszędzie, dokąd zechcecie się udać. Jediną atrakcją są tu plaże oraz w przystani jedyny bar i godna polecenia restauracja.

– Urocze miejsce – szepnęła Cassie.

– Na jak długo przyjechaliście?

– Na kilka dni.

– Szkoda. Tutaj trzeba pobyć co najmniej dwa tygodnie. Wy, turyści, potrzebujecie czasu, żeby się zrelaksować. Żebyście się stali tacy jak my, miejscowi. Wy zawsze się spieszycie.

Leith i Cassie wymienili uśmiechy. Tak, szofer ma rację, zawsze się spieszymy, przynajmniej ja, pomyślała Cassie. Biegam do upadłego, żeby

spalić nagromadzoną energię.

Wnętrze domku okazało się nie mniej piękne niż widoki. Podłoga z desek, meble kryte skórą i bajecznie kolorowe dywaniki.

Dwie trzecie ściany w jej sypialni było ze szkła, a za oknem rozciągała się panorama zatoki z przystanią i jachtami kołyszącymi się na morzu migoczącym w blasku księżyca. Widok przywodzący na myśl kapitana, który z wysokości wieży czuwa, wypatrując piratów.

Cassie się uśmiechnęła. Skąd jej to przyszło do głowy? Zanim poznała Leitha, romantyczne myśli nie były jej w głowie, a teraz znowu zaczyna marzyć.

– Jeśli chcesz, to może być twój pokój – powiedział. – Wezmę tę komórkę na tyłach.

Odwróciła się.

– Przepraszam, myślałam, że wszystkie pokoje są takie same. – Uśmiechnęła się. – Mogę ci go odstąpić.

– Nie śmiałybym cię stąd wypraszać – odrzekł z błyskiem w oczach. – Zwłaszcza kiedy widzę, jak bardzo ci się tu podoba. Jest mi obojętne, gdzie śpię.

Atmosfera nagle zgęstniała, a Cassie poczuła, że jej przyspiesza puls. Wróciło wspomnienie tamtych nocy, które spędzali na jej lub jego wąskiej koi. Wystrój wnętrza był nieistotny. Byli zbyt pochłonięci poznawaniem swoich ciał, by się tym przejmować.

– Przejdziemy się przed kolacją po plaży? – zapytał.

Niekoniecznie, przyszło jej do głowy, nie z tobą. Ale taka odpowiedź byłaby w najlepszym razie dziecinna, w najgorszym nieuprzejma. To nie jego wina, że ona reaguje jak zakochana małolata.

– Najpierw chciałabym się rozpakować i odświeżyć. Spotkamy się w

salonie za dziesięć minut.

Zjawiała się już po pięciu.

W milczeniu szli po białym piasku. Leith pochylił się po płaski kamyk, po czym cisnął nim na wodę.

– Coś ci to przypomina? – zapytał.

– Tak, Afrykę – szepnęła.

– Tęsknisz za Afryką?

– Tak. – Za tobą.

– Wrócisz tam? Nie powiedziałaś, jakie masz plany, kiedy zakończysz pracę w naszej klinice.

– Moje miejsce w Korpusie Medycznym nadal na mnie czeka. Dali mi pół roku na podjęcie decyzji, czy dalej chcę z nimi pracować.

Rzucił ostatni kamyk, po czym przeniósł na nią wzrok.

– A chcesz?

– Nie wiem. Nie wiem, czy wystarczy mi odwagi.

Podszedł bliżej, by ująć jej twarz w dłonie.

– Cassie, nie chcę, żebyś tam wracała.

Wstrzymała oddech, opuściła powieki i czekała.

Ale on opuścił ręce i cofnął się o krok.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała tam, gdzie może ci grozić niebezpieczeństwo. Nikt nie może ci zarzucić, że zrobiłaś za mało.

Rozczarowanie sprawiło, że nogi się pod nią ugięły. Czego się spodziewała? Że Leith ją pocałuje, jak gdyby już raz od niego nie uciekła?

A czuła, że znowu ucieknie.

W domu, na tarasie z widokiem na morze, czekał na nich stół nakryty przez Josie. Jak by to było, pomyślała ze smutkiem, gdybym tak bardzo nie bała się odrzucenia i tego, że Leith się zorientuje, że jestem inna, niż mu się

wydaje? Miałabym szansę na przyszłość z nim? Na razie jednak nie pokazuje, że nadal mu na tym zależy. Ale... tak na mnie patrzył... Tak się nie patrzy na koleżankę z pracy.

Przerażona umknęła do swojego pokoju. Czy naprawdę potrafi przez następne dni udawać, że Leith jej nie podnieca?

Zamaszystym ruchem odsunął krzesło.

– *Madame*, zapraszam do stołu. – Sądząc po tym, z jaką swobodą to powiedział, nie robi na nim najmniejszego wrażenia.

Nie zapamiętała, co jedli na kolację. Odgłos fal rozbijających się o skały zlał się z rytmem jej serca, jakby świat się skurczył i było na nim miejsce tylko dla nich dwojga, dla Leitha i niej. Tak miało być, ale tak nie będzie.

Jednak na tych kilka nocy zapomni o przeszłości i nie będzie myśleć o przyszłości. Po prostu będzie się cieszyć tą krótką cenną bliskością.

Rano zasiedli do śniadania, na które składały się owoce oraz wypieki Josie i aromatyczna kawa.

Cassie poczuła się głodna. Chyba za sprawą morskiego powietrza, pomyślała. Ale również ogarnął ją spokój. Nie miała zamiaru opowiadać Leithowi o Afganistanie, ale od kiedy to z siebie wyrzuciła, czuła się lekka.

Już widział jej blizny, więc teraz nie wstydziła się pokazać w skąpej sukience na ramiączkach.

– Jakie masz plany? – zapytał, obierając pomarańczę.

– Pójdę popływać. A ty?

– Chyba do ciebie dołączę, ale najpierw zbadam Catherine.

– Zaczekam tutaj. To chyba nie potrwa długo. – Odgoniła pszczołę. – Tak ich tu dużo, że chyba niedaleko mają gniazdo. – A propos, nie ma w twoim pokoju pajaków? – zażartowała. – U mnie na suficie siedział największy i najbardziej kosmaty pajak, jakiego w życiu widziałam.

Skrzywił się.

– Cieszę się, że odstąpiłem ci ten pokój. Muszę poprosić cię, żebyś wieczorem obejrzała moją sypialnię.

Serce Cassie zatrzepotało. Każde zdanie Leitha przypominało o nocach spędzonych na Mercy Ship. Nawet jeśli nie wszystko jest z nią w porządku, to jej libido ma się wyśmienicie. Odkąd ich drogi znowu się zeszły.

Uśmiechnął się tajemniczo, po czym wstał od stołu. Przeniknął jej lubieżne myśli?

Pół godziny później usłyszała krzyk. Wybiegłszy na zewnątrz, ujrzała Josie klęczącą nad nieruchomo leżącą dziewczynką.

– Boże, Tess, moja mała Tess! – krzyczała kucharka.

Cassie pochyliła się, by zbadać tętno. Nic.

– Co się stało? – zapytała. – Upadła? Źle się czuła?

– Ugryzła ją pszczoła. Jak wyjmowałam żądło, powiedziała, że wszystko ją swędzi.

Dopiero teraz Cassie dostrzegła na ciemnej skórze dziecka wysypkę. Skoncentrowana, nie zauważyła, że nadszedł Leith.

– Co się stało? – zapytał.

– Użądlenie przez pszczołę. Nie wyczuwam tętna. Podejrzewam wstrząs anafilaktyczny. Przyniesiesz moją torbę?

Chwała Bogu, że zabrała z sobą torbę z zestawem pediatrycznym.

Szukała żyły, by się wkłuć, ale ku jej przerażeniu wszystkie większe naczynia krwionośne już się zapadły. To się czasami zdarza, kiedy organizm człowieka się wyłączy. Źle, gdy stanie się to w szpitalu, ale poza nim, bez odpowiedniego sprzętu, może okazać się fatalne.

Aby jej pomóc, Leith też zaczął szukać odpowiedniego miejsca wkłucia, ale skoro nawet Cassie go nie mogła znaleźć, to nie miał większych

szans.

Wszystko to działo się na oczach przerażonej Josie.

Świat dokoła zwolnił. Jak tamtego dnia w Afganistanie. Cassie słyszała cykanie świerszczy, czuła gorąco na ramionach. Strach chwycił ją za gardło.

Nagle otrząsnęła się z odrętwienia – jest przecież inny sposób dostarczenia Tess płynów!

– Użyję igły doszpikowej. W ten sposób dostanie płyny bezpośrednio do układu krwionośnego.

– Słyszałem o tym – odezwał się półgłosem Leith – ale jeszcze nie widziałem, jak to się robi.

– Lepiej, żeby mamy przy tym nie było – szepnęła.

– Nie zostawię mojej małej! – zareagowała ostro Josie.

– Okej, wobec tego mocno ją trzymaj. To nieprzyjemny widok, ale ona nic nie poczuje. Nie pozwól, żeby się poruszyła.

Josie przytaknęła.

Chwilę później Cassie już mogła podłączyć dziewczynkę do kroplówki. Jeszcze kilka sekund, i dziecko się poruszyło.

Cassie ogarnęło obezwładniające uczucie ulgi. Dobrze, że nie skamieniała. Od Afganistanu najbardziej się bała, że w krytycznych sytuacjach nie będzie zdolna do działania.

– Dobra robota – pochwalił ją Leith półgłosem.

– Dzięki. – Wbrew sobie się uśmiechnęła. Tylko drugi lekarz potrafi zrozumieć satysfakcję z uratowania ludzkiego życia. – Josie, Tess będzie zdrowa, ale w przyszłości musi bardzo uważać na pszczoły. I zapewne do końca życia na wszelki wypadek mieć przy sobie ampułko– strzykawkę z epinefryną. Ale ty już będziesz wiedziała, co robić w razie użądlenia.

Dziewczynka zamrugnęła, po czym otworzyła oczy, a widząc, że matka

płacze, też się rozpląkała. To bardzo dobry znak. Za parę godzin będzie zdrowa jak rybka.

– Myślę jednak, że należy ją przewieźć do szpitala, żeby ją tam porządnie zbadano. Tam też dostaniesz zapas epinefryny.

– Szpital jest na sąsiedniej wyspie – powiedziała Josie drżącym głosem.

– Można się tam dostać tylko łodzią, a mąż jest w rezydencji...

– Zobaczę, co się da załatwić – oznajmił Leith.

– Popłynę z wami – obiecała Cassie.

– Chcesz, żebym wam towarzyszył?

– Nie, poradzę sobie.

– Jak tylko czegoś się dowiem, wrócę do was.

Catherine użyczyła im swojego małego samolotu, a lekarze w szpitalu ponownie zbadali dziewczynkę, orzekli, że jej stan jest zadowalający oraz przekazali Josie opakowanie ampułko– strzykawk.

Gdy wróciły na wyspę, Leith na nie czekał. Mimo że upłynęło parę godzin i emocje już opadły, na jego widok serce Cassie zabiło mocniej.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odparła z uśmiechem.

Nawet lepiej niż w porządku. Można powiedzieć, że rozpiera ją szczęście. W ciągu ostatnich kilku tygodni przybrała na wadze i rozproszył się mrok spowijający jej duszę.

Dzięki temu mężczyźnie, który stał przed nią z podejrzaną zadowoloną miną.

– Catherine i dziecko są zdrowi. Zaprosiła nas na lunch, ale pozwoliłem sobie w imieniu nas obojga podziękować, więc zaproponowała, żebyśmy popłynęli łódką na pobliską niezamieszkaną wysepkę i tam coś zjedli. Wydała kucharzowi polecenie, żeby przygotował dla nas kosz piknikowy. Co

ty na to?

– Fantastycznie.

Czy nie postanowiła wymówić posłuszeństwa rozsądkowi? Co z tego, że nie ma dla nich przyszłości? Co z tego, że nie będzie happy endu?

Przed nimi cztery dni. Potem wyjedzie i na zawsze zniknie z jego życia. A jeśli będzie bardzo cierpiała? To jedna ze składowych życia, a ona nagle zapragnęła znowu coś odczuwać, nawet jeśli miałyby to być bolesne.

Gdy sunęli łódką po przejrzystej wodzie, obserwowała bajecznie kolorowe ryby.

– Zarządca rezydencji pożyczył mi aparaty do nurkowania – odezwał się Leith. – Pomyślałem, że przed lunchem moglibyśmy trochę ponurkować.

– Jestem za. – Przyglądała mu się spod przymkniętych powiek, wodząc palcami po tafli wody. – Wprawny z ciebie wioślarz.

– Nieczęsto zdarza mi się taki komplement. – Uśmiechnął się. – Wychowywałem się na wyspie. Po raz pierwszy ojciec zabrał mnie na żagle, jak miałem pięć lat. Wcześniej matka się nie zgadzała. Wody wokół Skye są niebezpieczne, jeśli się nie ma wprawy, a matka uważała, że ojciec za bardzo lubi ryzyko. Ale ja tego nie zauważyłem. Jego ojciec był rybakiem, więc ojciec nauczył mnie szacunku dla morza.

– Tutaj chyba nic nam nie grozi. Nawet gdybyśmy się wywrócili, to do brzegu doszlibyśmy na własnych nogach.

Dobiwszy do brzegu, Leith podwinął nogawki, wyskoczył z łodzi i nim Cassie się zorientowała, wziął ją na ręce. Poczowała jego ciepło, zapach i rozedrgane mięśnie. Znalazła się tam, gdzie pragnęła się znaleźć.

Gdy postawił ją na ziemi, roześmiała się nerwowo i cofnęła o krok. Wiedziała, co się wydarzy, ale chciała przedłużyć tę rozkoszną chwilę. Chciała, by pożałował jej do utraty zmysłów. Ujęła jego twarz w dłonie, by

napawać się płomieniem w oczach. Ten dzień należy do niej i nikt jej go nie odbierze.

– Lunch? – rzuciła półgłosem.

– Jaki lunch? – Sprawiał wrażenie oszołomionego, ale gdy wyciągnął do niej ramiona, odsunęła się.

– Uważam, że najpierw powinniśmy coś zjeść, a dopiero potem nurkować.

– Jesteś głodna? – zapytał z niedowierzaniem.

– Nie bardzo – przyznała, spoglądając na niego wymownie.

Z bijącym sercem rozkładała obrus na piasku.

Ta wysepka była jeszcze piękniejsza. Kępa drzew za ich plecami osłaniała ich od innych wysepek, a przed nimi ciągnęła się niemal po horyzont piaszczysta plaża.

Gdy Cassie otwierała kosz, Leith położył się na kocu. Zadrżała na wspomnienie jego ciała, mięśni, ciemnych włosów na podbrzuszu, dłoni. Zapragnęła jeszcze więcej, zapragnęła, by został z nią na zawsze. Ale jeśli to jest niemożliwe, zadowoli się tym jednym cudownym dniem.

Czując na sobie jego wzrok, wykładała winogrona, pomarańcze, owoce mango, pieczywo, sałatkę. W koszu znalazła się też butelka wina. Unosząc brwi, podała ją Leithowi, ale przecząco pokręcił głową.

Urwała jedno winogrono i pochyliła się, żeby mu je podać do ust, ale gdy chwycił je zębami, wyciągając po nią ramiona, odsunęła się ze śmiechem.

Nie spuszczać z niego wzroku, związała włosy w węzeł, po czym zdjęła sukienkę. Pod spodem miała skąpy kostium. Leith pożerał ją wzrokiem.

– Czy ty masz pojęcie, co mi robisz? – mruknął.

– Czy ja ci coś robię? – zapytała niewinnym tonem.

– Idę popływać.

Doskonale wiedziała, że oczy jej błyszczą. Niech Leith trochę pocierpi. Pierwszy raz znalazła się w roli uwodzicielki, ale bardzo się jej to spodobało. Może dlatego, że czując na sobie jego wzrok, odnosiła wrażenie, że cała płonie.

Świadoma, że bikini niewiele zasłania, pochyliła się po filtr słoneczny, a gdy usłyszała cichy jęk, miała pewność, że Leith jest u kresu wytrzymałości.

– Posmarujesz mi plecy? – Podała mu butelkę.

– Chodź tu i usiądź.

Usadowiła się między jego nogami. Gdy dotknął jej dłonią z chłodną emulsją, zadrżała, ale gdy zsunął jej ramiączko, wstrzymała oddech. Czuła, że lada chwila przestanie panować nad sytuacją, że już dłużej nie pociągnie tej gry, bo spłonie, pragnąc jego pieścizot.

– Dobrze to robię?

Bała się odezwać, więc tylko kiwnęła głową.

– Żeby to zrobić jak należy, muszę rozpiąć zapięcie. – W jego głosie, niższym o całą oktawę, wyłowiła nutę rozbawienia. Domyśliła się, że jej podniecenie nie uszło jego uwadze. Role się odwróciły.

Nagle jego dłonie znieruchomiały. Na granicy jej blizn. Odruchowo chciała zasłonić je ręką, ale on zaczął delikatnie muskać je wargami. Stłumiła krzyk. Jeszcze nie, jeszcze nie teraz. Chwilo, trwaj!

Gdy jego dłonie gładziły jej szyję, przygryzła wargę, żeby go nie błagać, by ukrócił te tortury. Nie podda się pierwsza, mimo że w tej grze Leith okazał się lepszy. Postawił sobie za punkt honoru doprowadzić ją do granic wytrzymałości i chociaż bez wątplenia znalazła się na straconej pozycji, postanowiła trzymać się jak najdłużej.

Czując jego dłonie wędrujące od brzegu bikini aż pod piersi i z

powrotem, przestało ją interesować, kto wygra tę potyczkę. A gdy w końcu Leith dotknął jej piersi, nie wytrzymała. Musi się odwrócić, zdjąć mu spodnie... Nie zwlekając ani sekundy dłużej, odwróciła się, rozpięła mu spodnie i go dosiadła.

Wpatrując się w niebo, starała się sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek zaznała takiego spokoju... mimo że wkrótce się rozstaną. Na zewnątrz nic się nie zmieniło: on ma swoje życie, ona swoje. Ale w niej zmieniło się wszystko. Tam, gdzie wcześniej wypełniała ją pustka, teraz kłębiły się emocje, a ból kochania Leitha to cena, jaką chętnie za to zapłaci.

Mają jeszcze trzy dni. Można udawać, że to się nigdy nie skończy. Poglądziła go po torsie, ale gdy chciał ją do siebie przyciągnąć, pokręciła głową.

– Nie – szepnęła. – Teraz ja tu rządzę i zrobię z tobą to samo, co ty ze mną.

W trakcie kolejnych dni na przemian kochali się i zwiedzali wyspę. Noc w noc nie mogli się sobą nasycić, ale ostatniego wieczoru, kiedy Cassie zamarzyła sobie jak najowocniej wykorzystać ostatnie godziny, musieli iść na kolację z Catherine i jej przyjaciółmi. Nie wypadało się wymówić.

Konwersując z gośćmi, szukali się wzrokiem, ślali sobie wymowne uśmiechy, po czym podejmowali rozmowę. Przy pierwszej nadarzającej się okazji pożegnali się z gospodynią, ale ku zdziwieniu oraz sporemu rozczarowaniu Cassie, zamiast wrócić do domu, Leith zaproponował drinka na molo.

Zeszli do miniaturowego barku z widokiem na fale rozbijające się o skały. Oprócz nich był tam tylko barman oraz klient, który właśnie wychodził.

Gdy z drinkami usiedli przy jedynym stoliku, Leith ujął jej dłonie.

– Czy wiesz, że jesteś piękna?

– Ty też nie jesteś brzydki. – W jej oczach z każdym dniem stawał się coraz bardziej pociągający. W ciągu tych kilku dni na wyspie skóra mu nawet pociemniała, podkreślając biel zębów oraz zieleń oczu.

– Powinniśmy się pobrać – oznajmił, wpatrując się w nią.

Wstrzymała oddech. Wszystkiego się spodziewała, ale nie tego.

– Pobrać?

– Tak. – Ujął ją pod brodę. – Uważam, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

– Stworzeni? Dla siebie? – powtórzyła.

– Tak. I Peter cię lubi. Moglibyśmy zostać rodziną.

– Uśmiechnął się. – Nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem.

– Uważasz, że powinniśmy się pobrać, bo Peter mnie lubi? – Nie kryła niedowierzania.

– Hm... tak. Jest jeszcze jeden drobiazg: Kocham cię i czuję, że ty mnie też.

Zamknęła oczy uszczęśliwiona. On ją kocha? Szczerze?

Pomyślała o sześciolatniej Cassie, niekochanej, niegrzecznej i do niczego. Co on wie o dorosłej Cassie? Prawie nic. Mimo to wierzyła, że Leith ją kocha, bo nie udawałby, gdyby było inaczej.

– Moglibyśmy mieć więcej dzieci – ciągnął Leith. – Braciszków i siostrzyczek Petera.

Jej radość nagle przygasła.

– Leith, ja nie chcę mieć dzieci. Nawet się nie widzę w roli macochy Petera.

Nic się nie zmieniło. Dzieci to ból i poświęcenie. Nawet nie była pewna, czy potrafiłaby pokochać dziecko, czy może kochałaby je za bardzo. Dawno nie czuła się tak dobrze, ale to nie znaczy, że jest gotowa wziąć ślub i rodzić

dzieci. Wątpliwe.

Ściągnął brwi.

– Wydawało mi się, że lubisz Petera?

– Bardzo go lubię. Peter jest niezwykłym dzieckiem. Ale to nie to samo, co się nim opiekować non stop, być dla niego jak matka. Chyba nawet bym nie umiała.

– Nie znam nikogo, kto byłby lepszą matką, ale twoje nastawienie do macierzyństwa może się zmienić. Masz jeszcze sporo czasu.

– Nie tak dużo. Mam prawie trzydzieści pięć lat. Wiesz najlepiej, co to znaczy dla mojej płodności.

– Nie obchodzi mnie twoja płodność. Ważne, żebyś pokochała Petera. Boisz się, że nie potrafisz mu matkować, ale ja w tej kwestii nie mam najmniejszych wątpliwości. Chcę, żebyśmy byli razem. Do końca życia. To proste.

– Och, Leith, to wcale nie jest proste. Nie może zostać tak jak jest? Nie musimy brać ślubu, żeby być razem.

– Ale, Cassie, ja chcę, żebyśmy się pobrali – wyszeptał. – Chcę mieć pewność, że mnie kochasz, że mi ufasz i nie potrafisz żyć beze mnie. Chcesz powiedzieć, że mnie nie kochasz? – Roześmiał się nieprzyjemnie. – Nie uwierzę.

– Leith, kocham cię – wyznała, patrząc mu w oczy.

– Myślałam, że nigdy czegoś takiego nie powiem, ale kocham cię całym sercem i duszą.

– Ale nie chcesz zostać moją żoną. Przynajmniej powiedz dlaczego.

Odsunęła się, po czym podeszła do barierki i zapatrzyła się w morze. Gdy stanął za nią, by ją objąć, poczuł, jak jej serce wali w rytm fal rozbijających się na skałach.

Westchnęła.

– Już ci mówiłam, że byłam adoptowana, pamiętasz?

– Pamiętam każde twoje słowo. Ale nie powiedziałaś nic poza tym, że niewiele cię łączy z przybranymi rodzicami.

– Nie chcę o tym rozmawiać. Mój kontakt z nimi się urwał, a ta kobieta, która zostawiła mi w spadku mieszkanie w Londynie, to moja niania. To ona mi matkowała. Straciłam biologiczną matkę, kiedy byłam nieco młodsza od Petera. Narkotyzowała się, podobnie jak Jude. – Kaszlnęła. – Narkotyki ją zabiły, a mnie oddano do sierocińca. Kobieta, która mnie adoptowała, bardzo przypominała panią Forsythe, z którą niedawno tak się ścięłam. Podejrzewam, że Lily, trudno mi o niej mówić jako o matce albo nawet macosze, adoptowała mnie wyłącznie po to, żeby nie odstawać od reszty środowiska, w którym się obracała.

Myślę, że z dokumentów dowiedziała się o przyczynie śmierci mojej matki i to ukształtowało jej stosunek do mnie. Nie chciała ze mną mieć nic wspólnego i nieustannie mi groziła, że odeśle mnie do sierocińca, jeśli nie będę grzeczna, a to oznaczało idealny porządek w moim pokoju, bezgraniczne posłuszeństwo i nieodzywanie się bez pozwolenia.

Od ósmego roku życia zajmowała się mną wyłącznie niania. To nie było takie złe. Kochałam Marthę i wiem, że i ona mnie kochała. Tłumaczyła mi, że to nie moja wina, że Lily mnie nie kocha, bo sama miała trudne dzieciństwo i o to ma pretensję do losu, nie do mnie. Ale dziecko nie jest w stanie tego pojąć, dziecko zawsze myśli, że to jego wina. Starłam się być grzeczna. Taka grzeczna, żeby Lily mnie kochała albo przynajmniej żeby nie odsyłała mnie do sierocińca. Może nawet byłoby lepiej, gdyby to zrobiła? Jedno mi się udało. Poszłam na medycynę. Byłam bardzo pilną studentką. Na początku, żeby zadowolić Lily. Później, kiedy wykładowcy zaczęli mnie chwalić, dla

własnej przyjemności. Zawsze dobrze się uczyłam i myślę, że jedyny raz, kiedy Lily była ze mnie dumna, to wtedy, kiedy dostałam się na medycynę w Oksfordzie. Chwaliła się mną przed wszystkimi.

Przez twarz Cassie przebiegł cień uśmiechu.

– Ale na szczęście miałam nianię, dopóki w wieku jedenastu lat nie zostałam wysłana do szkoły z internatem.

Leith mruknął coś pod nosem, ale gdy chciał ją do siebie odwrócić, zaprotestowała.

– Nie, Leith. Gdybyś teraz na mnie patrzył, to nie wiem, czy miałabym siłę dokończyć tę swoją historię. Otóż któregoś dnia się pokłóciły. Nie w mojej obecności, ale byłam ciekawskim dzieckiem. Miałam wtedy chyba z dziesięć lat. Martha i Lily były w salonie. Lily oznajmiła, że niania nie będzie już potrzebna, bo wyjeżdżam do szkoły z internatem. Niania powiedziała, że chociaż nie aprobuję takich wymysłów jak szkoła z internatem, to może lepiej, bo nie będę musiała żyć z matką, która nie może na mnie patrzeć, i ojcem, który nawet mnie nie zauważa. W efekcie Lily wyrzuciła Marthę, ale dopiero w dniu mojego wyjazdu do szkoły. Jak widać, Lily wolała znosić jej poglądy, niż sama się mną zająć.

– A ojciec... mąż Lily?

– Chyba nie był złym człowiekiem, tylko słabym. Nigdy nie był wobec mnie okrutny albo niedobry, ale też nie stawał w mojej obronie, kiedy Lily źle mnie traktowała.

– I to dlatego nie utrzymujecie kontaktów?

– Oni chyba też są zadowoleni, że nie muszą mnie oglądać. Zawsze mieli jakiś pretekst, żeby nie zabierać mnie na ferie do domu. Ostatecznie zabierała mnie do siebie Martha. Bardzo mi to odpowiadało, bo z nią czułam się szczęśliwsza.

W szkole układało się nie najgorzej. Nie miałam wielu koleżanek, chyba uważałam, że mam jakąś wadę, że nie można mnie polubić, ale bardzo starałam się być miła i dalej byłam wzorową uczennicą i gospodynią klasy. Lily brała udział we wszystkich szkolnych imprezach, żeby inni rodzice ją widzieli.

Na studiach większość wakacji spędzałam za granicą albo na zastępstwach, albo jako wolontariuszka, mimo że Lily nie była skąpa. Jeśli nigdzie nie wyjechałam, spędzałam czas z nianią. Lily czasami nawet nie wiedziała, że jestem w Londynie. W końcu, kiedy stałam się finansowo niezależna, nasz kontakt się urwał.

Tym razem Leithowi udało się spojrzeć jej w oczy.

– Na całym świecie nie ma drugiej osoby, która by tak bardzo zasługiwała, żeby ją kochać – powiedział cicho. – Jesteś piękna i masz wielkie serce. Wiesz o tym?

– Zaczynam w to wierzyć. Przy tobie... czuję się dobrze, dzięki tobie nareszcie jestem sobą, ale nadal się obawiam, że nie potrafiłabym kochać swoich dzieci albo że kochałabym je za bardzo i zamęczyła tą miłością. Zdaję sobie sprawę, że trudno ci to zrozumieć. Sama nie wiem, czy ja to rozumiem.

Leith doznał olśnienia.

– To dlatego opuściłaś Mercy Ship, zostawiając mi tylko kartkę? Było między nami dobrze, dopóki nie dowiedziałaś się, że mam dziecko.

Przytaknęła.

– Nie chciałam, żebyś się łudził, że jest przed nami jakaś przyszłość. Z Peterem.

– Cassie! On cię kocha, a ty jego. Nie jesteś jak Lily i nigdy taka nie będziesz.

– Tak, myślę irracjonalnie, ale nie potrafię sobie tego wyperswadować.

– Jak mam to rozumieć? Nie każ mi wybierać między sobą i Peterem, bo tego nie zrobię. Niezależnie od tego, jak bardzo cię kocham, nie zrezygnuję z syna.

Pogładziła go po policzku.

– Wiem. Inaczej bym cię nie pokochała.

Uśmiechnął się, biorąc jej twarz w dłonie.

– Tyle lat czekałem na kobietę swojego życia, że mogę poczekać dłużej. Ale, skarbie, nie każ mi czekać za długo.

Trzymając ją w ramionach tej nocy, rozmyślał nad jej słowami. Dużo wyjaśniały: jej lęk przed kochaniem i byciem kochaną, przed macierzyństwem, brak zaufania.

Nie szukał opiekunki dla Petera, chciał tylko, by biologiczna matka chłopca mogła odpowiednio się nim zająć. Niezależnie od tego, co Cassie myśli, byłaby wspaniałą i kochającą mamą. Peter już jest pod jej urokiem.

Popatrzył z czułością na uśmiech igrający jej na wargach. Zniknęły sine kręgi pod oczami, wzrok nabrał blasku i coraz częściej się śmiała.

Oby uwierzyła, że ma złote serce oraz w to, że on nigdy jej nie zawiedzie. Jednak choćby nie wiem co, synka nie opuści. Nawet dla niej. Kocha ich oboje, więc musi czekać, aż Cassie zaufa jego uczuciu.

Dopóki tak się nie stanie, będzie cierpliwie czekał.

Obudziła się w pustym łóżku. Przekonana, że Leith bada Catherine, poszła do ogrodu zerwać kilka pomarańczy na sok na śniadanie. Była tam zaledwie kilka minut, kiedy zjawiała się Josie.

– Doktor Leith prosi, żeby pani przyszła do rezydencji.

Przeczuwając, że stało się coś niedobrego, wzięła z sobą torbę lekarką i ruszyła ścieżką prowadzącą do głównego domu.

W holu czekał na nią Leith.

– Jak zawsze zbadalem tętno dziecka. Do dzisiaj nie budziło żadnych moich zastrzeżeń, ale uważam, że też powinnaś ją zbadać. Jest niepokojąco wolne, sześćdziesiąt uderzeń na minutę. Sprawdziłem tętno Catherine, bo pomyślałem, że być może usłyszałem jej tętno, ale dzisiaj jest ono nawet lekko przyspieszone, może ze zdenerwowania.

– Nie ma sprawy. – W myślach wyliczała przyczyny spadku tętna. Żadna z nich nie wróżyła dobrze.

– Zawiadomiłem pilota, żeby był gotowy – mówił Leith – bo w razie czego trzeba ją będzie przetransportować do szpitala, żeby tam urodziła.

– Leith, bój się Boga! To dopiero trzydziesty drugi tydzień.

– Wiem. – Potarł brodę. – Tak na wszelki wypadek.

Księżna czekała na nich w sypialni.

– Cześć! – powiedziała Cassie. – Leith poprosił, żebym cię osłuchała, zgadzasz się?

Obawy Leitha się potwierdziły. Dziecko wprawdzie jeszcze się ruszało, ale należało jak najszybciej Catherine przewieźć do szpitala.

Kilka godzin później księżna, blada i wystraszona, leżała na szpitalnym łóżku. Leith i Cassie zdążyli już się skonsultować z miejscowymi specjalistami i, na podstawie licznych badań, zgodzili się co do diagnozy.

Cassie przysiadła obok księżnej i wzięła ją za rękę, a Leith stanął w nogach łóżka.

– Catherine, jesteśmy zdania, że jest duża szansa, że dziecko będzie zdrowe – zaczęła Cassie – więc nie wpadaj w panikę, kiedy usłyszysz, co mamy do powiedzenia.

– Ale nie jest dobrze? – wyszeptała księżna.

– Nie. Serce dziecka nagle zwolniło. Przyczyny takiego stanu rzeczy mogą być różne, dlatego konieczne było przewiezienie cię do szpitala.

– Będzie żyła?

– Naszym zdaniem ma wadę serca. To dlatego tyle tych badań, bo na zdjęciach jej serce wygląda na zdrowe, ma komory prawidłowe, wszystkie połączenia z najważniejszymi naczyniami krwionośnymi, nie widać tam żadnych dziur ani innych nieprawidłowości. Zaczęliśmy się zastanawiać, czy nie jest to blok przewodnictwa ko– morowo– przedsionkowego. Polega to na tym, że impulsy elektryczne są nieprawidłowo przekazywane, tak że serce pracuje wolniej, niż powinno. Przekazaliśmy też twoją krew do badania, żeby sprawdzić, czy nie ma tam przeciwciał wywołujących taki blok.

– Co to znaczy?! Nic z tego nie rozumiem!

– Należy się liczyć z tym, że konieczne będzie cesarskie cięcie. Może się też okazać, że należy małą operować, ale... – Catherine zbladła, więc Cassie pospieszyła ją pocieszyć. – Widziałam wiele dzieci z taką wadą przewodnictwa, które rozwijały się zdrowo oraz czytałam o licznych takich dzieciach, które wyrosły na zdrowych dorosłych. Zdaję sobie sprawę, że brzmi to przerażająco, ale zagwarantujemy wam opiekę najlepszych kardiologów. Konieczne będzie powtarzanie USG, żeby mieć pewność, że dziecko rośnie, poza tym nieodzowne będzie cesarskie cięcie, i to w szpitalu, w którym jest również kardiochirurg dziecięcy. Po porodzie zbadamy dziecko i będziemy je monitorować aż do decyzji, że rozrusznik jest konieczny. Gdyby zaraz po porodzie okazało się, że dziecko jest zagrożone, wszczepimy mu rozrusznik w trybie nagłym, mimo że czasami od narodzin musi upłynąć trochę czasu, zanim zapadnie taka decyzja. Zdaję sobie sprawę, że trudno ci to ogarnąć, więc powtórzmy to, ile razy zechcesz, a na razie postaraj się, nie martwić, chociaż wiem, że to niełatwe.

– Dlaczego nie wykryto tego wcześniej? Leith, ostatnio ty robiłeś mi USG. Powiedziałeś, że wszystko jest w normie.

– Bo było w normie. Takie sprawy często wychodzą dopiero w zaawansowanej ciąży.

– Co teraz będzie?

– Na razie nic, dopóki dziecko nie będzie na tyle duże, żeby mogło bezpiecznie przyjść na świat;

– Chcę wrócić do Anglii. Do mamy. Chcę, żeby była blisko. – Rzuciła Cassie zaleknione spojrzenie. – Pozwólcie mi do niej lecieć.

Popatrzyli po sobie, po czym Cassie pokiwała głową. Uznała, że taka podróż dziecku nie zaszkodzi, a na pewno pomoże księżnej. Tak właśnie powinna wyglądać relacja matki z córką.

– Spróbuję zorganizować transport lotniczy – powiedziała Cassie.

Catherine opadła na poduszki.

– Nie trzeba. – Potrząsnęła głową. – Mąż uruchomi nasz prywatny samolot. – Wargi jej drżały. – Zostaniecie ze mną, dopóki nie wrócę do domu?

– Oczywiście – obiecała Cassie. – Będziemy przy tobie przez cały czas.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Stała wraz z Leithem nad inkubatorem i wpatrywała się w maleńkiego noworodka. Obok w fotelu siedziała Catherine.

– Ona jest za mała, żeby ją operować – szepnęła.

– Ma tu bardzo dobrą opiekę – odezwała się Cassie. – Jest w najlepszych rękach.

Tak jak podejrzewali, dziewczynka potrzebowała rozrusznika serca, ale kardiochirurg dziecięcy zapewnił ich, że nic nie stoi na przeszkodzie, by córeczka Catherine wiodła w przyszłości radosne i owocne życie.

Spoglądając jednak na noworodka, Cassie po raz kolejny czuła, że nie powinna mieć własnych dzieci, bo miłość niesie z sobą tylko ból i strach.

Wyszli na zewnątrz. Był koniec lata i wkrótce Cassie miała opuścić klinikę.

Leith najwyraźniej czytał w jej myślach.

– Pojedziesz ze mną i Peterem na Skye, kiedy skończy ci się umowa z kliniką?

Zamierzał ostatnie dwa tygodnie wakacji szkolnych spędzić z synem u rodziców, tym bardziej że Peter nalegał, by tam pojechali.

– To chyba nie najlepszy pomysł.

Ujął ją pod brodę.

– Zgódź się. Proszę.

Z ciężkim sercem pokręciła głową. Nic się nie zmieniło: kochała Leitha, ale nie była taką kobietą, jakiej Leith pragnie, na jaką on i Peter zasługują.

– Cassie, co mam zrobić, żebyś uwierzyła, że cię kocham? Że ze mną będziesz bezpieczna? I że nigdy nie przestanę cię kochać?

Gdy dotknął jej policzka, nie mogła się powstrzymać, by nie musnąć wargami jego dłoni.

– Leith, nic na to nie poradzisz. Po prostu o mnie zapomnij – wykrztusiła przez ściśnięte gardło, odwracając się, ale chwycił ją za ramię.

– Dobrze wiesz, że to niemożliwe. – Wzrok mu złagodniał. – Wiem, że mnie kochasz i że kochasz Petera. Chcę tylko, żebyś mi zaufała. – Powiódł palcem po jej wargach. – Zaufaj mi, zaufaj mojej miłości. Możemy stworzyć rodzinę, we troje. – Pocałował ją w czoło. – Będę czekał, aż w to uwierzysz. Nieważne, jak długo.

Przez kolejne dni nie przestawała myśleć o Leicie i jego propozycji. Dlaczego nie potrafi przyjąć bez zastrzeżeń, że będzie ją kochał aż po grób? Dlaczego nie ufa sobie, że może być dobrą żoną i matką? Dlaczego nie dowierza, gdy mówi, że wystarczą mu ona i Peter?

O co jej chodzi? Przecież wie, że stosunek przybranych rodziców do niej był niewłaściwy. Setki dzieci wychowują się bez miłości, a mimo to udaje im się zostać kochającymi i wspierającymi rodzicami. Tak, wiedziała o tym, przynajmniej na poziomie intelektualnym, ale w środku dalej czuła się jak to niekochane dziecko sprzed lat.

Leith obiecał, że będzie czekał, nie ma pośpiechu. Katie urodziła synka dwa tygodnie temu, jeszcze podczas ich pobytu na Kajmanach, więc Fabio wkrótce wróci do pracy. Już nie będzie tutaj potrzebna.

Podczas porannego dyżuru nie wydarzyło się nic niepokojącego: kilka bolących gardła i szczepienia. Po południu czekała ją wizyta domowa u chłopczyka, którego matka uważała, że rozwija się za wolno. Kobieta zaproponowała, że przyjedzie z malcem do kliniki, ale Cassie uznała, że łatwiej będzie go badać w jego naturalnym otoczeniu.

Teraz pora na kawę i kanapkę. Dodatkową atrakcją, pomyślała, może

się okazać spotkanie z Leithem.

W recepcji promieniejąca Katie chwaliła się małym Marcusem przed Rose i pielęgniarkami.

Cassie podeszła do nich, by pogratulować młodej mamie. Naprawdę śliczne maleństwo, pomyślała, spoglądając na pyzată buzię i kruczoczną czuprynkę.

– Potrzymasz go? – zwróciła się do niej Katie. – Bo muszę do toalety...

Nim Cassie zareagowała, Katie podała jej niebieskie zawiniątko. Niemowlę wbiło w nią ciemne oczka.

– Cześć, mały – szepnęła.

Marcus niespodziewanie mocno zacisnął paluszki na jej palcu. Jak to jest do samej śmierci dźwigać odpowiedzialność za taką istotę? Ze świadomością, że cokolwiek się wydarzy, nasze życie jest nierozzerwalnie związane z życiem drugiej osoby? Budzić się każdego dnia ze strachem, że nie jest się dobrą matką i że być może to dziecko wyrośnie na człowieka emocjonalnie ułomnego? To ogromna odpowiedzialność.

Mały Marcus ziewnął. I wtedy coś w niej pękło: poczuła ciepło rozlewające się wokół serca, doznanie tak silne, że omal się nie rozplakała.

Wróciła Katie.

Oddawszy jej synka, Cassie nagle poczuła się osamotniona.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Leith i Peter wyjechali na Skye następnego dnia. Cassie nawet sobie nie wyobrażała, że tak głęboko będzie to przeżywać, zwłaszcza że z kolei ona miała wyjechać przed ich powrotem.

Leith pożegnał się z nią chłodno, jakby żegnał obcą osobę. Nie mogła mu mieć tego za złe.

W ostatniej chwili wsunął jej do ręki list, którego jeszcze nie czytała. Niby po co? Nieoczekiwanie ogarnął ją wielki smutek, że już więcej nie zobaczy Petera. Chyba tak samo dojmujący jak ten z powodu rozstania z Leithem. Bez niego każdy jej dzień będzie ponury. Bez Petera i bez Leitha.

Stała w oknie. Lato się kończyło, a z następnym miesiącem do mieszkania Marthy wprowadzą się nowi właściciele. Rzucając okiem na kopertę, spostrzegła, że jej imię nie jest napisane ręką Leitha. Duże litery oraz błąd ortograficzny wskazywały na kogoś innego.

„Kochana Casy! Proszę, przyjeść na skaj. Tęsknie za tobom. Mam takie marzenie. Obiecałaś. Peter”.

Liścik wypadł jej ręką. Ale z niej idiotka! To prawda, co mówił Leith: Peter już ją pokochał. Jak mogłaby go teraz porzucić? Wyszłoby mu to na dobre?

Kocha Petera i nie przestanie go kochać tak, jak nie przestanie kochać Leitha. Może nie zawsze będzie wzorową matką, ale chyba jest im to winna, więc powinna chociaż spróbować. Jeśli zdarzy się jej potknąć, Leith ją wesprze, wesprze ich oboje. Będzie ich chronił i kochał. Bezwarunkowo.

Dotarła do Staffin dopiero w sobotę rano. Przyjechałaby w piątek wieczorem, ale zatrzymało ją pożegnalne spotkanie zorganizowane na jej

cześć w klinice. Ten gest głęboko ją wzruszył. Po raz kolejny pozwoliła sobie zbliżyć się do ludzi, którzy stali się jej rodziną, ale tym razem było inaczej.

Tym razem rozumiała, że nie musi się chować za maską dystansu. Poznali ją, a mimo to potraktowali jak kogoś bardzo bliskiego.

Teraz przyszła pora na spotkanie z Leithem i Peterem. Mało brakowało, a zmarnowałyby szansę na szczęście. Nie musi być najlepszą matką i żoną pod słońcem. Wystarczy, że będzie się starała. I bardzo ich kochała.

Gdy zajechała pod rodzinny dom Leitha, zauważyła go w ogrodzie. Kopał grządkę. Obok mały człowieczek naśladował każdy jego ruch. Obaj byli w samych dzinsach. Nikt nie miałby cienia wątpliwości, że Peter jest jego synem.

Kawałek dalej Maggie karmiła kury.

Na jej widok Leith szeroko się uśmiechnął, przyprawiając ją o przyspieszone bicie serca. Nikogo nie pokocha tak mocno jak Leitha. Peter cisnął łopatkę na ziemię i puścił się biegiem w jej stronę. Oplatał krótkimi ramionkami jej kolana z taką siłą, że mało nie upadła.

– Przyjechałaś! Moje życzenie się spełniło! – pisał z radości.

– Okropnie się cieszę, że cię widzę. – Przytuliła go.

Kochała go tak samo jak Leitha. Czy może popełnić błąd, mając u boku Leitha? Dlaczego aż tyle lat musiało upłynąć, zanim do niej dotarło, że nie jest taka sama jak Lily? Przecież Leith i Peter nie przestaną jej kochać, gdy się potknie.

– Chodź zobaczyć moje kurczaczki. – Peter wziął ją za rękę. – Tata powiedział, że są moje. Tylko moje – podkreślił uradowany.

To już nie to samo blade i wystraszone dziecko, jakie zobaczyła po raz pierwszy. Podnosząc wzrok na Leitha, który nie przestawał się uśmiechać, rozumiała, ile dla niego znaczy miłość i zaufanie małego Petera.

Chłopiec zaciągnął ją do gniazda uwitego ze słomy, w którym siedziały kurczęta. Pięć żółtych kuleczek. Peter podawał ich imiona, a Cassie nie mogła się nadziwić, jak on je odróżnia.

– Chciałem je zabrać do Londynu – poinformował ją – ale tata mówi, że to okrutne zabierać takie małe pisklaczki od mamy. – Podniósł na nią wzrok. – Tata mówi, że odebrali mnie mamie, żeby mogła wyzdrowieć, ale jak wyzdrowieje, to znowu będzie się mną opiekować. Jak zechcę, to niedługo będę mógł z nią mieszkać, jak nie będę u niego.

Cassie rzuciła Leithowi pytające spojrzenie, zostawiając Petera, który przykucnął nad gniazdem i spoglądał na kurczęta wzrokiem dumnego ojca.

– Jude wraca do zdrowia – powiedział Leith półgłosem. – Wiem od Belli, że niedługo opuści klinikę. Ma zamiar u niej zamieszkać razem z Peterem. Pod warunkiem, oczywiście, że nie zacznie znowu brać. – Zerknął na syna. – Obiecała, że będzie się trzymać, a ja jej wierzę. No cóż, czas pokaże, ale jestem optymistą.

– To wspaniała wiadomość – ucieszyła się Cassie. – Aż miło popatrzeć na takiego zadowolonego Petera... Odetchnąłeś z ulgą.

– Nawet nie wiedziałem, jak fajnie jest być tatą. Teraz do szczęścia brakuje mi tylko jednego. – Spojrzał jej głęboko w oczy. – Cassie...

Ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć, podbiegł do nich Peter i rzucił mu się na szyję.

– Tato, jak już jest z nami Cassie, to czy możemy pojechać do Wąwozu Elfów? Chcę sprawdzić, czy tam naprawdę mieszkają elfy.

– Synku, obawiam się, że one nie lubią się pokazywać ludziom, ale jasne, możemy tam pojechać. Jeśli Cassie się zgodzi...

Zorientowała się, że to nie jest jedyny warunek. Wstrzymała oddech. Jak mogła pomyśleć, że potrafi żyć bez niego?! Bez człowieka, który z

anielską cierpliwością czekał, aż ona nabierze do niego zaufania? Nareszcie, nareszcie nie miała cienia wątpliwości, że będzie kochać jego i Petera tak, jak na to zasługują oraz że oni nigdy nie przestaną kochać jej.

U boku Leitha sprosta wszystkim wyzwaniom. W końcu dojrzała do skorzystania z szansy na miłość.

Uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

– Tato, co ty mówisz? Nie wiesz, że marzenia się spełniają?

Leith patrzył na nią, gdy mówiła:

– Peter, gdzie ty i twój tata, tam i ja.

Pół roku później stała obok Leitha u podnóża zamku Dunvegan. Uznali, że to najbardziej odpowiednie miejsce zaślubin. Nieopodal biegał Peter w garnitur– ku specjalnie uszytym na tę okazję. Bez wątpienia go zabrudzi, pomyślała Cassie, ale się tym nie przejęła. Uwielbiała swojego pasierba, który za osiem miesięcy miał dostać małego braciszka lub siostrzyczkę. Mimo że spodziewała się dziecka, czuła, że jej miłość do Petera nie dozna najmniejszego uszczerbku, bo stał się jej dzieckiem w tej samej mierze co Leitha.

Czasami jeszcze się zdarzało, że budziła się w środku nocy, ale tuż obok zawsze był Leith, który potrafił ją utulić do snu. Zaakceptował, że lęki i koszmary są jej częścią i przysiągł, że do końca życia będzie robił wszystko, by czuła się kochana.

Spojrzała w oczy człowiekowi, którego pokochała nad życie. Dwa razy omal go nie straciła, ale to już się nie powtórzy. Cokolwiek się stanie, ukochany mąż będzie przy niej, a ona przy nim.

Jakkolwiek na to spojrzeć, doczekała się szczęśliwego zakończenia.